

Antologia SF

Zajdel Janusz

Książka III z Stało się jutro



calibre 0.9.43

STAŁO SIĘ JUTRO

(zbiór trzeci)

SCAN-dal.prv.pl

JANUSZ A. ZAJDEL

TELECHRONOPATOR

Musiał już od dłuższej chwili stać za moimi plecami, bo gdy odwróciłem się ku drzwiom, uśmiechnął się krzywo i powiedział:

- Pan jak widzę jest miłośnikiem starożytności... Zgadł trafnie, bo też nie było to trudne: od dziesięciu minut wybierałem między Plutarchem, Herodotem a Flawiuszem, by wreszcie odejść z "Żywotami Cezarów" pod pachą, bo na nic innego nie starczyło mi pieniędzy.
- Owszem - powiedziałem, usiłując go wyminąć, lecz podreptał za mną.
- Czasy Imperium to niezwykle ciekawy okres - powiedział gestykulując szeroko i bezładnie.
- Chociaż, jeśli o mnie chodzi, wolę starożytny Wschód.

Wyszliśmy z księgarni. Nie usiłowałem podtrzymać rozmowy lecz on na ulicy jeszcze kręcił się koło mnie, gdy niezdecydowanie zatrzymałem się na chodniku. Trajkotał bez przerwy, lecz do mnie nie docierało teraz nic z jego przemowy, bo całkowicie pochłonięty byłem myślą o odczepieniu się od niego. Ważyłem właśnie decyzję, w którą stronę mam się udać, aby jemu nie było po drodze. Gdy jednak zrobiłem pierwsze trzy kroki w lewo, on pospieszył ochoczo za mną i wiedziałem już, że niełatwo pozbędę się gadulskiego natręta. Z determinacją ruszyłem wyciągniętym krokiem, a on choć sięgał mi zaledwie do ramienia, a miał na pewno ponad siedemdziesiąt lat, nadażał jakimś cudem i zasypywał mnie lawiną słów, wypowiedzianych trzęsącym się nieco głosem:

- Gdyby pan zechciał, mógłbym pokazać wiele ciekawych rzeczy... Rzym, Grecja, Chiny...

Co kto chce.

- Ma pan zapewne bogaty księgozbiór? - zainteresowałem się wreszcie.

Zamachał dłonią koło ucha i zaprzeczył kilkoma energicznymi skrętami głowy.

- Nie, nie... To, co pisali kronikarze, nie zawsze odpowiada prawdzie... Pan rozumie, subiektywizm i te... różne zależności osobiste... Pan wie, jak to jest: w każdej formacji społecznej, gdzie była twarda władza i uciskany lud, tam byli panegiryci i paszkwilanci. Pierwsi na usługach

władzy, drudzy - odkłamujący to, co głosili pierwsi. Ci drudzy podobali się ludowi, lecz i oni nie zawsze pozostawali w zgodzie z prawdą... Tak więc nie ma źródeł prawdy obiektywnej... Pisanej prawdy.

- Hm... - powiedziałem. - Prawdę trzeba wyważać samemu spośród materiału źródłowego...

- Samemu, to racja... - podchwycił - ale nie ze źródeł pisanych.

- Myśli pan o zabytkach kultury materialnej, sztuki?...

- To już pewniejsze, ale ja mam coś znacznie lepszego!

Niepostrzeżenie doszliśmy do skweru i usiedliśmy na pier wszej z brzegu ławce.

- Lepszego? - wzruszyłem ramionami. - Oprócz przekazów ustnych i źródeł, które pan już przed chwilą skrytykował, nie ma innych... Chyba, że znajdzie się wreszcie jakiś Podróżnik po Krainie Czasu! - zażartowałem.

Oczy staruszka zaświeciły żywiej, przysunął się bliżej mnie i zajrzał mi prosto w twarz.

- O! Właśnie! - powiedział z uznaniem, celując palcem w moją pierś. - Bardzo słusznie pan zauważył. Znak, że nie brak panu wyobraźni. Oto co znaczy młodość, brak przesądów i tego... zaskorupienia się w domniemanej własnej doskonałości i nieomyślności. Czy pan wie - mówił, bodąc mnie wciąż tym chudym paluchem - czy pan uwierzy, że czterej poważni uczeni, których usiłowałem wielokrotnie naprowadzić, jak pana, na tę myśl, nie wymienili nawet żartem takiej możliwości! - Przerwał, oddychając z trudem po tych kilku zdaniach wypowiedzianych jednym tchem w jakimś niezrozumiałym pośpiechu. Po chwili mówił dalej, odpoczywając i sapiąc co kilka zdań.

- Już dawno przyszło mi do głowy, kiedy byłem jeszcze profesorem na uniwersytecie...

- Pan jest historykiem? - wtrąciłem.

- Nie, nie jestem. Dziś już niczym nie jestem! Starym dziwką co najwyżej. Tak

powiedzą, jeśli pan zapyta w Akademii o Gisnelliusa... Jeżeli nie zapomnieli jeszcze o mnie... Ale nie

o tym chciałem mówić - ciągnął staruszek po kilku głębokich oddechach. - Wspomniał pan Wellsa.

Nie, ten jego pomysł z Wehikułem Czasu był najczystsza fantazją. Z punktu widzenia nauki był to pomysł naiwny i sprzeczny z prawami przyrody. Trudno zresztą, by było inaczej. Podróżowanie w czasie to paradoks, chwyt pisarski i nic więcej. Przy najłagodniejszych nawet założeniach podróz w czasie można by odbywać co najwyżej w granicach życia jednostki. Ilość materii zawartej w danym punkcie czasoprzestrzeni jest ściśle zdeterminowana i nie pozostawia możliwości ani miejsca na żadne wybryki z przenoszeniem masy czy energii w przeszłość. Przeniesienie się w przeszłość poza czas własnych narodzin nie oznaczałoby w praktyce niczego: po prostu urodziłby się taki "Podróżnik" po raz drugi niejako, w ściśle określonym czasie, a następnie wpasowałby się w swój własny życiorys, nie wiedząc nawet, że przeżywa ten sam czas po raz drugi... Rozumie pań? Takie "cofnięcie się" miałyby ten mniej więcej sens, co powtórze nie pewnego odcinka filmu, który ma i tak swój początek, koniec i określony scenariusz. Cofając lub posuwając naprzód taśmę nie ujrzymy już nic więcej, niż gdybyśmy oglądali film jednym ciągiem, od początku do końca. Każde inne postawienie sprawy prowadzi do nieuchronnych paradoksów i sprzeczności, że wymienię tylko możliwość wpływania na własną przyszłość... Przyjmując wszystkie fizykalne ograniczenia dochodzi się do wniosku, że je dynym sposobem "cofnięcia się" w czasie jest taka metoda, która wyklucza czynny byt osoby w czasie, w którym ona nie istniała nigdy, to jest poza granicami jej życia. Zapyta pan, jak to możliwe? Otóż możliwe, zapewniam pana i mogę o tym przekonać każdego, kto zechce.

Pan niewątpliwie słyszał to i owo o zjawiskach parapsy chicznych? O telepatii na przykład? Ja wiem, to budzi liczne kon trowersje, wszyscy doszukują się w tym jakiegoś oszustwa, szarla tanerii... Nic gorszego jak zbytnia ortodoksyjność w nauce! Prowadzi to do swego rodzaju inkwizycji, do fanatycznych za przeczeń temu wszystkiemu, co burzy stare pojęcia lub tylko wykracza poza ich ramy... Co niejasne - zalepiać czarnym pa pierem, w imię świętego Porządku Rzeczy, w imię przestarzałych, lecz usystematyzowanych i przejrzystych, choć nie zawsze ścisłych

poglądów... Mechanicyzm pokutuje do dzisiaj w niektórych umysłach... Determinizm zdawał się być skończonym systemem wszechrzeczy. Wszystko inne było herezją. Relaktywizm, teorie statystyczne, cybernetyka wreszcie... Każda z tych dziedzin miała swojego bałwana, który nazywał ją "metafizyką", "pseudonauką" czy wręcz oszustwem!... Ale... zdaje się, że odbiegam znów od tematu. Nie wiem nawet, czy pan rozumie to wszystko, o czym mówię. Pan ma raczej zainteresowania humanistyczne, o ile zdołałem się zorientować...

- Niezupełnie - bąknąłem; nie chcąc się całkowicie przed nim dekonspirować.

- To zresztą w dzisiejszych czasach nie ma już tak wielkiego znaczenia. Dawniej, gdy rozmawiało się z humanistą, on rozumiał co piąte słowo, i vice versa.... Dziś wszyscy się przystosowali, to konieczność... Jedni, by żyć w świecie techniki, o której trzeba jednak to i owo wiedzieć, drudzy, by nie zgłupieć i nie zejść do poziomu maszyn do liczenia... A zatem telepatia: "przepływ informacji z mózgu do mózgu bez udziału zmysłów". Oczywiście chodzi tu o tych konwencjonalnych pięć zmysłów. O szóstym przebąkiwano od dawna, ale tylko w przenośni, nie bardzo wiedząc co to ma być. Telepatia - przekazywanie myśli na odległość, poprzez przestrzeń... A co by pan powiedział, gdyby to rozciągnąć na cztery wymiary, na czasoprzestrzeń w sensie einsteinowskim? Wszystko wszak odbywa się w przestrzeni i czasie, albo inaczej: trwa w czasoprzestrzeni, tej arenie zdarzeń. Pan rozumie: trwa!!!

Można sobie wyobrazić przekazanie informacji z punktu A do B - to jest zwykła telepatia.

Można jednak również wyobrazić sobie przekazanie informacji z punktu A i chwili T do punktu B i chwili T! Nie będzie tu żadnej sprzeczności; żadnego paradoksu przepływu masy czy energii...

Płynie czysta informacja! "Informacja to jest informacja, a nie sprawa energii" - to powiedział Wiener. Informacją rządzą inne niż energią prawa zachowania... Jeśli już można przedstawić to modelowo, to chyba przez analogię do promieniotwórczości: mózg jest próbką promieniotwórczego izotopu: im dalej od niej, tym promieniowanie słabsze. Im dalej w czasie - to znaczy w miarę jego

wpływu - również promieniowanie jest słab sze... Każdy myślący i czujący mózg promieniuje informacją w cza soprzestrzeń.

Informacja rozprasza się, rozrzedza, lecz nie ginie.

To jest właśnie sformułowane przeze mnie prawo zachowania informacji... Jeśli tu, na tym miejscu, siedział wczoraj jakiś człowiek i stał się źródłem strumienia informacji, to dziś z łat wością można by tę informację odszukać, choć od wczoraj paruje ona niejako, rozchodzi się z tego miejsca we wszystkie strony! Umiejąc wychwycić strumień informacji płynący od określonego mózgu, można by nawiązać telepatyczny kontakt nie tylko z żyjący mi, lecz także z istniejącymi kiedyś osobami... Byłby to, ma się rozumieć, kontakt jednostronny: owa osoba nie mogłaby tego od czuć, a ten kto pochwycił informację promieniującą z jej mózgu, nie mógłby w żadnym stopniu wpływać na jej czyny i myśli. Mógłby jednak w pełni odczuć, i przeżywać to, co owa osoba czuła i przeżywała w danym odcinku czasu. Sprawa nie jest technicznie prosta. Nakładają się na siebie strumienie informacji pochodzących z różnych źródeł, z różnych kierunków i najprze różniejszych czasów. Selekcja przedstawia poważny problem, ale efekty... Niech pan sobie wyobrazi, co za wspaniałe źródło dla badań historycznych!

- Pięknie! - wtrąciłem, gdy staruszek opanował zadyszkę. - To jednak tylko fantazja, choć muszę przyznać, wielce sugestywna. O ile wiem, nawet ta zwykła telepatia, jeżeli w ogóle istnieje coś takiego, jest dotąd zjawiskiem niezbyt dokładnie wyjaśnionym, a zjawiska, które zdają się ją potwierdzić, są tylko nielicznymi i sporadycznymi fenomenami...

- Źle się do tego zabierano, ot co! - zarechotał staruszek, odzyskawszy już równy oddech. -

Fale elektromagnetyczne! Też pomysł! Niektórzy poprzestali na stwierdzeniu, że tą drogą nie odbywa się telepatyczne przekazywanie informacji, i to im wystar czyło za negatywny dowód.

Przekreślili telepatię, jakby poza falami elektromagnetycznymi nic więcej nie miało prawa istnieć!

To są właśnie prawdziwi metafizycy... To są osły, skończone osły! Gdyby tacy, jeden z drugim, żyli

w czasach Maxwella i Hertza, trykaliby głupimi łbami w te same fale elektromagnetyczne i dowodzili, że ich nie ma.

Zakasłał się nagle, czerwieniejąc i wybałuszając wyblakłe niebieskie oczy.

- Zawsze drażnili mnie tacy! - usprawiedliwiał się po chwili. - Rozumiem, że nie można wszystkiemu bezkrytycznie wierzyć, ale trzeba szukać, wciąż szukać prawdy...

- Pan szukał?... To znaczy zajmował się pan telepatią w cza soprzestrzeni?

Musiał wyczuć w moim pytaniu nutę ironii i niewiary, bo powiedział z goryczą:

- Pan mi nie wierzy, młody człowieku. Ale to nic, do tego już przywykłem... Przekonam pana. Proszę przyjść do mnie choćby jutro. Obejrzy pan śmierć Cezara... Albo nie! Zabije pan go i zobaczy jego śmierć oczami Brutusa.

- Dobry żart! - powiedziałem i uśmiechnąłem się, by mu zro bić przyjemność.

Żachnął się, wstał i z miną, jakby wyzywał mnie na poje dynek, podał mi wizytówkę.

- Proszę! - powiedział ostro. - Oczekuję pana po uprzednim telefonie.

Odszedł aleją, pozostawiając mnie na ławce z "Żywotami Cezarów" i wizytówką w rękę.

Przez kilka dni byłem zbyt zajęty, by myśleć o odwiedzeniu Gisnelliusa. Wbrew temu, co o mnie sądził, byłem dość dobrze zorientowany i doskonale zdawałem sobie sprawę, że wywody jego były, delikatnie mówiąc, naciągane. Dopiero w sobotę, natrafiwszy przypadkiem w kieszeni na przełamany w pół kartonik z jego nazwiskiem, pomyślałem sobie, że właściwie mógłbym do niego zadz wonić. Sądząc po numerze telefonu, mieszkał w willowej dzielnicy na północnym skraju miasta. Na wizytówce był wprawdzie adres, lecz zupełnie nie mogłem sobie uprzytomnić, gdzie jest ulica Nielsa Bohra.

Wybrałem numer i czekałem. P odniósł słuchawkę po trzecim dawonku. Od razu poznałem jego chrypiący, lekko zdyszany głos.

- To pan! - ucieszył się kiedy przypomniałem mu o naszej rozmowie. - Proszę bardzo, niech

pan przyjedzie, choćby zaraz. Najlepiej metrem do stacji Osiedle Akademickie, a stamtąd już bardzo blisko...

Powiedziałem, że za pół godziny tam będę. Gdy wsiadłem do metra, dochodziła szósta.

Pod adresem, który miałem na kartce, znalazłem maleńki domek, stojący wśród wielu podobnych, ciasno uszeregowanych wzdłuż wąskiej uliczki. Światło paliło się w jednym tylko oknie.

Nacisnąłem dzwonek przy furtce. Po chwili zabzyczał mechanizm elektrycznego zamka i furtka uchyliła się. W drzwiach domku ukazał się profesor, okręcony ciepłym szlafrokiem.

- Dobry wieczór! - powitał mnie wylewnie i zaprosił do wnętrza. Przeszedłszy przez mroczną i zabałaganioną sień znalazłem się w oświetlonym pokoiku. Znaczną jego część zajmowały półki pełne książek, wielkie biurko i coś jeszcze, czego zrazu nie potrafiłem rozpoznać, bo było nakryte szarą płachtą. To coś miało kształt wielkiego prostopadłościanu.

Posadził mnie przy biurku i zabrał się do parzenia herbaty. Robił to długo i niezręcznie, oblewając się wrzątkiem i klnąc przy tym półgłosem.

- Zimno tu u mnie. Oszczędzam energię elektryczną - powiedział tonem usprawiedliwienia. - Mam elektryczne piece, a ta cała aparatura pożera mnóstwo prądu...

Zbliżył się do prostopadłościanu i ściągnął zeń płachtę. Ukazała się jakby ogromna tablica rozdzielcza, złożona z trzech pionowych ścian, otaczających obrotowy fotel. Ściany i mały pul pit przed fotelem usiane były rojem wskaźników, pokręteł i przełączników.

- Oto on... - powiedział staruszek z dumą, sadowiąc się na- przeciw mnie. - Telechronopator...

A właściwie jego część opera- cyjna. Reszta aparatury zajmuje cały sąsiedni pokój.

- Pan to sam skonstruował? - spytałem z niedowierzaniem, pa trząc na zupełnie przyzwoicie wykonane elementy aparatury.

- Przez czterdzieści lat byłem samodzielnym pracownikiem naukowym - powiedział. -

Miałem dostęp do laboratoriów i personel techniczny do dyspozycji... Nikt nie śmiał mnie

kontrolować, bo równocześnie prowadziłem inne prace, niezmiernie dla uniwersytetu doniosłe. To wszystko udało mi się wykonać bez zwracania czyjej kolwiek uwagi. Sam to oczywiście projektowałem i nikt nie miał pojęcia, co z tego ma być. Gdybym przedstawił projekt Radzie Naukowej, byłby kłopot z uzyskaniem funduszków. Znalazłem inny sposób: podjąłem badania w dziedzinie, o której niewielu uczonych miało rzeczywiście pojęcie. Owszem, każdy kiwał głową i udawał głębokie zrozumienie, ale doskonale wiedziałem, że są rozpaczli wymi ignorantami. Miałem jednak wyniki praktyczne na światową skalę. To zadecydowało, że znalazły się fundusze i nieograniczone praktycznie uprawnienia. Moi asystenci robili co im kazałem. Wszystkie jednak nici trzymałem w dłoni tylko ja. Tu, w tym domu, montowaliśmy całą aparaturę we dwóch, z moim starym laborantem. On już nie żyje...

Kiedy już wszystko było gotowe i wypróbowane, usiłowałem os troźnie przygotować kilku najbardziej wpływowych profesorów do przyjęcia moich rewelacji... Pan wie, co mówili? Na samą wzmiankę o telepatiiomalże nie kręcili kółek na czole. Dali mi do zrozu mienia, że jestem już stary i przemęczony pracą. Zaproponowano mi emeryturę. Było mi to w owej chwili nawet na rękę, choć nie tak wyobrażałem sobie moje odejście z uniwersytetu... Pan rozumie: czterdzieści lat! A potem tak... Ale to teraz mało istotne. Dość, że nie doszło nigdy do zademonstrowania mojego telechronopatora. Postanowiłem poczekać, aż znajdą się ludzie na tyle rozsądni, że zrozumieją doniosłość mego wynalazku. Ulepszałem go przez szereg lat, poznawałem coraz to nowe możliwości tej wspaniałej aparatury...

- Nie sądzę, by pan uznał mnie za osobę godną poznania w pierwszej kolejności zalet tej maszyny - powiedziałem skromnie. - Wobec pana jestem ignorantem w tej dziedzinie.

Profesor uśmiechnął się jowialnie.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział. - Chciałbym jednak, by ktoś poparł moje wywody,

Mnie, starego, mogą posądzić o halucynacje, urojenia i tak dalej... Są przy tym pewne niejasności,

które moglibyśmy wspólnie wyjaśnić. Pan spojrzysz na rzecz obiektywnie, bez osobistego zaangażowania, bardziej krytycznie.

Piliśmy w milczeniu herbatę, przegryzając ciasteczkami, które staruszek wydobył z szuflady biurka. Patrzyłem na aparaturę, usiłując odgadnąć zasadę jej działania. Z wykształcenia jestem elektronikiem, mimo to jednak wszelkie usiłowania nie doprowadziły mnie do rozszyfrowania schematu tablicy. Aparatura była oryginalna i unikalna, nie przypominała żadnego ze znanych mi urządzeń.

- Czas włączyć zasilanie - powiedział Gisnellius wstając.

Podszedł do tablicy i wcisnął kilka klawiszy. Zapłonęły kolejno kontrolne neonówki, za ścianą zaszumiały rdzenie transformatorów. Maszyna ożyła. Czuło się lekką wibrację podłogi, jak w hali maszyn cyfrowych, gdzie pracuję.

- Obsługa aparatury wymaga pewnej wprawy - powiedział profesor. - Można to porównać do pracy przy radiostacji krótkofalowej. Trzeba dostrajać się do strumienia informacji, "łapać" go nie jako, podobnie jak fale radiowe... Proszę, niech pan siada! - wskazał mi fotel przed pulpitem. - Tu, na tym miejscu, ogniskują się transduktory wzmacniacza końcowego, które przekażą do pańskiego mózgu to wszystko, co myśli i odczuwa człowiek będący obiektem sprzężenia...

- Raczej chyba: "co myślał i odczuwał", jeśli to będzie ktoś z przeszłości?

- Celowo użyłem czasu teraźniejszego - uśmiechnął się Gisnellius. - W odniesieniu do zdarzeń użycie czasu przeszłego narzucałoby pewne uporządkowanie, równoczesność lub nierównoczesność. Pojęcia te są jednak względne.

- Przez cały czas mówił mi pan o... telechronopatii, bo tak chyba trzeba nazywać to zjawisko, w odniesieniu do czasu przeszłego - powiedziałem. - A przyszłość? Czy wobec względności czasu, jaką narzuca uogólniona przestrzeń...

Staruszek drgnął i spojrzał na mnie, z trudem usiłując ukryć podejrzliwe zaniepokojenie. .

- Pan... zna te zagadnienia? Mówił pan w taki sposób, jak by... Kim pan właściwie jest?

Nie wiem co powstrzymało mnie od przyznania się do mojego zawodu.

- Robię doktorat z prawa rzymskiego... Coś na pograniczu historii i jurystyki - skłamałem bez zająknięcia.

Był tym wyraźnie uspokojony, co mnie z kolei przyprawiło o lekki niepokój.

- Interesowałem się kiedyś z amatorstwa nauką o przestrzeni - dodałem pospiesznie.

- Acha... - mruknął. - Niechże pan siada, proszę!

Zwlekałem - znów nie wiem, co mnie do tego skłoniło! - kręcąc się wokół fotela.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - przypominałem.

- Przepraszam, na jakie? - spojrzał na mnie roztargnionym wzrokiem; lecz ja wiedziałem, że udaje, i to podsyciło moją natarczywość.

- Pytałem pana o możliwość przechwytywania informacji z przyszłości!

- Ach, nie! Nie! - wykrzyknął gwałtownie, machając dłonią koło ucha. - To zupełnie niemożliwe... Przecież przyszłość nie jest zdeterminowana...

- A skąd pan wie?

Zmieszał się. Wyraźnie się zmieszał, bo otworzył usta i przez chwilę szukał odpowiedzi, rozglądając się nieprzytomnie po ścianach.

- Wiem! - wykrztusił wreszcie. - Nie będę panu tego wykladał, to by trwało zbyt długo. Niech panu wystarczy swego rodzaju reductio ad absurdum - dowód metodą "nie wprost", dowód negatywny: przypuśćmy, że możliwe jest przechwycenie informacji z przyszłości. To takie nasze robocze założenie. Cóż z tego wynika? Przechwytuje pan pewne wiadomości o zdarzeniach, które mogą dotyczyć pana osobiście. Może pan z tego skorzystać, na przykład tak, że "wymodeluje" pan później swoją przyszłość na inny sposób... Jednym słowem założenie nasze doprowadza do wniosku, że przyszłość "rzeczywista" mogłaby być inna niż ta, którą pan "zobaczył" metodą telechronopatii.

To jest sprzeczność, która oczywiście obala słusność naszego pierwotnego założenia. Czy to panu wystarczy?

- Nie! - powiedziałem ostro. - Może istnieje sposób ominięcia tej sprzeczności w rozumowaniu!

- Na przykład jak? - mruknął niechętnie.

- Nie wiem... - zastanowiłem się. - Może tak: sam proces sprzężenia myślowego z przyszłością jest możliwy tylko o tyle, o ile nie daje informacji, które mógłby wykorzystać "podróżujący w czasie" dla wpływania na własną przyszłość...

- A gdyby jednak trafił na taką właśnie informację! Przecież nie sposób tego przewidzieć a priori... - staruszek uśmiechnął się chytrze. - To co wtedy, pana zdaniem?

- Powiedzmy, że powodowałoby to jego... natychmiastową śmierć! - wypaliłem bez namysłu. Profesor zaniósł się bezgłośnym śmiechem.

- Oto... - powiedział po chwili, ocierając usta chusteczką - oto jak można się samemu zaplątać we własne sieci. Przecież, jeśli miałby ten pański podróżnik w przyszłość zginąć śmiercią w czasie eksperymentu, to nie byłoby w przyszłości takiej informacji, którą mógłby on wykorzystać, a po drugie, nie mógłby on, nieboszczyk, zrobić już w ogóle nic! Błędne koło, klasyczne błędne koło! To drugi, bardzo przekonujący dowód, że nie można zaglądać w przyszłość.

Mnie jednak dowód ten nie wystarczał. Niepostrzeżenie dla samego siebie uwierzyłem w to, co staruszek mówił o swym wynalazku, a ponadto i w to jeszcze, czemu sam tak gorąco za przeczał.

Podświadomie rozumowałem chyba mniej więcej tak: jeśli prawdą jest ta cała historia z chwytnością informacji w przeszłość, to logicznie rzecz biorąc, przyszłość musi być w tej dziedzinie równouprawniona. Rozumowałem chaotycznie, mąciły mi się w głowie moje niezbyt obfite wiadomości, plątały się sprawy odwracalności zjawisk w świecie mikro i makroskopowym, symetria

czasu względem punktu teraźniejszości:

- Dobrze, zaczynamy? - powiedziałem wreszcie. - Czy wszyscy tko gotowe?

- Proszę, proszę! - profesor zatarł dłonie i wskazał mi fo tel. - Na początek zrobi pan małą wycieczkę w przeszłość.

- Z kim mnie pan sprzęgnie telechronopatycznie? - zapytałem siedząc już na fotelu.

- O, to będzie dla pana niespodzianka! Nawet się pan nie domyśla!

- Chcę jednak wiedzieć! - powiedziałem z nagłym strachem.

Musiał to wyczuć, bo szybko odpowiedział:

- Proszę siedzieć i nie obawiać się niczego. Zrobi pan "wycieczkę" w bliską przeszłość.

- Ale, że tak powiem, w czyjej "skórze"?

Nie odpowiedział. Kościstym palcem wcisnął czerwoną gałkę na tablicy. Odczułem lekki zamęt w głowie...

Musiał już od dłuższej chwili stać za moimi plecami, bo kiedy odwróciłem się ku drzwiom, uśmiechnął się krzywo i powiedział: - Pan jak widzę, jest miłośnikiem starożytności... Zgadł trafnie, bo też było to trudne: od dziesięciu minut wybierałem między Plutarchem, Herodotem a Flawiuszem, by wreszcie odejść z "Żywotami Cezarów" pod pachą, bo na nic innego nie starczyło mi pieniędzy.

- Owszem - powiedziałem, usiłując go wyminąć, lecz podreptał za mną.

- Czasy Imperium to niezwykle ciekawy okres - powiedział, gestykulując szeroko i beładnie.

- Chociaż, jeśli o mnie chodzi wolę starożytny Wschód.

Wyszliśmy z księgami.

- No i jak? - Profesor stał obok fotela i zaglądał mi w twarz. - Dobrze trafiłem?

- Pan cofnął mnie do chwili naszego pierwszego spotkania?

- Właśnie! Odbierał pan swoje własne wrażenia sprzed kilku dni.

- Nie pomyślałem o takiej możliwości! - powiedziałem zdu miony.

- O, jeszcze wielu innych możliwości pan nie przewidział. To było najłatwiejsze do

osiągnięcia: sprzężenie z samym sobą, auto transmisja ponadczasowa. Efektowne, prawda?

Najprawdziwsza podróż wstecz. Niestety, możliwa tylko w ramach zakreślonych czasem życia podróżującego. Telechronopator jest nastawiony na auto transmisję. Może pan teraz zapuścić się w odleglejszą przeszłość...

Pochylił się nad pulpitem, przekręcił gałkę i powiedział:

- Piętnaście lat od punktu terażniejszości!

Prawą dłoń położył na czerwonej gałce startu. Wtedy właśnie zauważyłem, jak jego lewa dłoń skrada się w kierunku przełącznika, umieszczonego bezpośrednio pod pokrętkiem regulacji odstępu czasowego. Był to przełącznik wahadłowy, posiadający tylko dwie pozycje. Do tej pory spoczywał w pozycji oznaczonej symbolem "mi nus". Przy drugiej pozycji widniał znak "plus".

Gdyby przełączył go zdecydowanie i pewnie, jak nastawiał przedtem inne przełączniki i regulatory, nie zauważyłbym w tym nic podejrzanego. Ten jednak ukradkowy ruch starczej dłoni przykuł moją uwagę, zaniepokoił mnie. Dalej działałem jak w natchnieniu. Gdy dłoń jego przerzuciła ów przełącznik, poderwałem się gwałtownie na nogi i nagłym szarpnięciem obu rąk wcisnąłem profesora w fotel.

Krzyknął ochryple, cofając dłoń z czerwonej gałki, lecz ja, trzymając go już jedną ręką mocno za kark i wgniatając jego drobne ciało w fotel, drugą uderzyłem w czerwony wyłącznik. Dlaczego to zrobiłem? Zastanawiałem się nad tym o wiele później i doszedłem do wniosku, że kierował mną chyba tylko jakiś nieokreślony strach przed czymś niezwykłym i jak mi się wydało, niebezpiecznym. Może to była tak zwana intuicja, może działający telechronopator powodował - jako efekt uboczny - jakieś słabe oddziaływanie między świadomością Gisnelliusa i moją? Nie wiem. Dość, że niejasne poczucie zagrożenia kazało mi odwrócić nasze role w tym eksperymencie. Moralnie czułem się - w podświadomości, oczywiście - usprawiedliwiony: nie zrobię mu w ten sposób niczego ponad to, co on chciał zrobić mnie. Gdy wcisnąłem przełącznik startu, światła

przygasły nagle, a za ścianą, w sąsiednim pokoju, gdzie według słów profesora znajdowała się główna część aparatu ry, huknęło przeraźliwie. Moja dłoń, wczepiona dotąd w chude ramię starca, poleciała teraz w dół, ześlizgując się po obitym skórą oparciu fotela. Światła żyrandola drgnęły, pulsując na obniżonym napięciu. Ogarnąłem spojrzeniem podłogę pod fotelem, potem cały pokój. Profesora nie było! Drzwi były zamknięte, a pokój pusty.

Stałem może minutę w osłupieniu wpatrując się w fotel jakby w nadziei, że starzec pojawi się nagle w miejscu, gdzie go przed chwilą posadziłem. Potem, w obezwładniającym, panicznym lęku, wypadłem z pokoju, przebiegiem się, obruszając lawinę starych mebli spiętrzonych w kącie, by wreszcie znaleźć się na powietrzu. Nie oglądając się dobiegłem do rogu ulicy. Tu dopiero zwolniłem i obejrzałem się przez ramię. W ciemnym oknie domku profesora trzepotał pomarańczowy języczek płomienia. Ten ogień i huk, który przedtem słyszałem, musiały być spowodowane zwarcie w przeciążonej aparaturze. Stałem chwilę niezdecydowany, a potem jeszcze szybciej pobiegłem w stronę stacji metra. Tu minął mnie wyjący czerwony wóz straży ogniowej. Odetchnąłem. Ktoś musiał założyć ogień i wezwał straż.

Staruszek kłamał! Albo raczej: nie wszystko, co mówił było prawdą. Przyszłość bowiem - niezależnie od tego, czy jest ona zdeterminowana, czy też nie - nie może stać się wiadomą człowiekowi terażniejszemu! Tu profesor mówił prawdę. Nie zdradził mi jednak jedyne sposobu uniknięcia logicznego paradoksu: człowiek, który poznaje przyszłość, musi przestać być człowiekiem terażniejszym! Musi nieodwracalnie przenieść się natychmiast w tę przyszłość, która się przed nim odkrywa. W przeciwnym razie mógłby wykorzystać w terażniejszości swoją wiedzę o czasie przyszłym, a to prowadzi do paradoksu podwójnej przyszłości. Tak zaś, przeskakując czas, jaki dzieli go od przyszłości, podróżnik w czasie nie ma kiedy wykorzystać wiedzy o przyszłości! To jedyna możliwość wyplątania się z myślowego labiryntu... Tylko przy takim założeniu możliwa jest telechronopatia (a raczej telechronoportacja!) w przyszłość.

Profesor Gisnellius wiedział o tym doskonale. Przewidział to teoretycznie i rozwiązał konstrukcyjnie. Chciał tylko doświadczyć i potwierdzić swą pewność. Nie miał jednak odwagi dokonać eksperymentu na sobie samym. Był na to za stary! Skąd mógł wiedzieć, czy za rok, miesiąc, dzień - będzie jeszcze żył? Gdyby przeniósł się w przyszłość poza czas swego bytu, oznaczałoby to skok w śmierć... Dlatego też wiem, że nie spotkam już profesora Gisnelliusa: wskaźnik czasu był nastawiony na piętnaście lat!

Pozostałoby do rozstrzygnięcia pytanie, dlaczego paradoks, występujący w odniesieniu do przenoszenia masy i energii w przeszłość, nie obowiązuje w stosunku do przyszłości. Może ilość masy i energii w każdym punkcie tej "przyszłościowej" połówki czasoprzestrzeni nie jest jednak ściśle zdeterminowana? Myślę, że nauka odpowie wkrótce i na to pytanie.

KRYSTYN KRZYSZTOFOROWICZ

SZANSA GENIUSZU

Agata biegła po schodach przeskakując dwa stopnie naraz. Spóźnić się na ćwiczenia, kiedy pracownię prowadził profesor Grunald, byłoby kompletnym dnem. Na szczęście zdążyła już dopaść drzwi, gdy z bocznego korytarza wyłoniła się charakterystyczna, lekko przygarbiona sylwetka profesora. Siadała przy swoim stole, zanim wszedł do sali. Odczekała chwilę, aż Grunald stanie przy tablicy, po czym zajrzała przez ramię sąsiadowi.

- Karolku, w razie potrzeby ratuj, przyjacielu. Nie miałam czasu zajrzeć do skryptu, rodzinka mi się zwała z wizytą, sam rozumiesz...

Karolek, wysoki i przeraźliwie chudy młodzieniec o pryszczatej twarzy, pokiwał poważnie głową:

- Zrobi się, układ ci zmontuję, ale jak cię weźmie do siebie i zacznie maglować to... - tu wzruszył ramionami. - Agata, czy ty coś w ogóle wiesz o analizatorach przebiegów elektrycznych? - dodał po chwili.

- No, tyle co z wykładu.

- A, to wystarczy, żeby cię wylał za drzwi ! Agata złożyła błagalnie ręce.

- Zrób coś, Karolciu. Chociaż sam układ pomiarowy, może jakoś wybrnę.

Zajęcia biegły normalnym trybem. Grunald po podaniu tematów przechadzał się między stolikami. Agata, przy dyskretnej pomocy Karola, kończyła już ostatni pomiar. Kiedy zaczęła liczyć wyniki, Karol odsunął się nieco.

- Pozwolisz, że zajmę się teraz swoją robotą.

- Dziękuję ci bardzo - powiedziała nie odrywając wzroku od notatek.

Spojrzała na niego po paru sekundach, gdy z przymrużonymi oczami celował w Grunalda papierową strzałą. Nie zdążyła się nawet zdziwić, a już biały pocisk wyleciał w powietrze, szybował

chwilę łagodnym łukiem, żeby wylądować na głowie stojącego tyłem profesora.

Zapanowała cisza. Grunald nie odwracając się podniósł z podłogi strzałę i wolnym krokiem podszedł do katedry. Wszyscy zamarli w bezruchu, bojąc się głębiej odetchnąć, wpatrzeni w twarz wykładowcy na przemian bladą i czerwoną. - Moi drodzy - zaczął Grunald spokojnym głosem, ale nie trzeba było wrażliwego ucha, aby usłyszeć w nim zimną pasję. Moi drodzy, przez chwilę wydawało mi się, że jestem przedszkolanką, a nie profesorem wyższej uczelni wśród słuchaczy drugiego roku łączności. Nie będę wyciągał z tego incydentu żadnych konsekwencji, nie chcę nawet wiedzieć, kto to zrobił, ale przyjmijcie do wiadomości, że moje wymagania w stosunku do tej grupy będą wyższe, niż to jest normalnie przyjęte. Robicie z siebie dzieci, ja z was zrobię dorosłych! - Grunald wyrznął pięścią w stół, lecz opanował się i dokończył zupełnie normalnym głosem: - Teraz poproszę do siebie panią ! - Wyciągniętą ręką zupełnie wyraźnie wskazywała na Agatę.

Agata przez cały czas siedziała nieruchomo patrząc oniemiałym wzrokiem na Karola. Ten podczas przemowy Grunalda z uwagą obserwował jakieś przebiegi na oscylografie, parę razy zanotował coś na kartce, zdawał się być zupełnie i bez reszty pochłonięty swoim zajęciem. - Karol, co ty... - zaczęła szeptem i w tym momencie usłyszała słowa Grunalda, a jego gest niedwuznacznie wskazywał, do kogo jest skierowane zaproszenie. Ruszyła do katedry, nogi miała zupełnie jak z waty.

"Ładnie mi Karolek pomógł - myślała. - Wyższe wymagania. Ja z normalnymi miałbym kłopoty. zegnaj, stypendium, będzie siara w indeksie jak nic".

Grunald siedział za stolikiem, podparty ręką pod brodę.

- Taaak - powiedział. - Porozmawiamy sobie na temat analizatorów. Niech mi łaskawa pani powie...

Jego głos dobiegał jakby z dużej odległości, docierały jedynie pojedyncze sformułowania.

- ...stosowane w praktyce... filtry pasmowe... nowsze wykonania...

"Ja nic nie wiem - myślała - a jeśli nawet coś wiedziałam, to teraz nie jestem w stanie odpowiadać".

W pewnej chwili bardziej wyczuła, niż usłyszała, że Grunald skończył i czeka na odpowiedź. Już otwierała usta, żeby ogłosić kapitulację, kiedy nagle w jakimś niewymierzalnym ułamku sekundy zrozumiała, że wie. Zupełnie na chłodno uświadomiła sobie sens i działanie układów, a jednocześnie nurtowało ją przekonanie, że dowiedziała się o tym przed chwilą. Jeszcze przed minutą jej wiedza ograniczała się do podstawowych wiadomości z zakresu elektroniki, a obecnie mogła rozwiązać każdy problem. Z nieomylną pewnością wyciągała wnioski, formowała nowe hipotezy i pewniki. Zorientowała się, że od paru chwil mówi, a właściwie wyklada Grunaldowi teorię analizatorów. Formułując wnioski, jakie wypływały z poprzedniego twierdzenia, stawiała przed sobą nowy problem, którego rozwiązanie znajdowała w trakcie omawiania przesłanek. Z suchym szelestem kredy rysowała na tablicy wykresy, z których wypływały nowe wnioski, ząbując się z sobą ściśle, niczym ogniwa łańcucha. Zdawała sobie sprawę z tego, że improwizuje, ale nie była to improwizacja podobna błędzeniu w ciemnościach, kierowała nią nieomylna pewność.

Profesor Grunald początkowo słuchał w milczeniu, parę razy otworzył usta, jak gdyby chcąc przerwać, potem wstał zza katedry i stanął nieco z boku kiwając od czasu do czasu potakująco głową. Niekiedy zasępiał się, marszczył brwi, żeby za chwilę z tym większym entuzjazmem wykonać ruch potwierdzenia. Słuchacze mieli wrażenie, że role odwróciły się: to odpowiadająca prowadziła wykład, a egzaminator grał rolę pojętnego studenta. Tymczasem Agata zrozumiała, że jej wywód dobiega kresu. Intuicyjnie wyczuwała, że z równego szeregu wzorów wybiegających spod kredy wyłoni się za chwilę coś, co będzie ukoronowaniem całości, niemal coś na kształt objawienia. Szybkim ruchem nakreśliła wężykowaty znak całki i ująwszy w klamrowy nawias dwa ostatnie równania odwróciła się do Grunalda:

- Tak więc po scałkowaniu ostatniego wyrażenia otrzymamy... I koniec, kompletna pustka w

głowie, nie wiedziała już nic. Stała przed tablicą, na której białe rzędy niezrozumiałych wzorów.

Grunald z wyciągniętą do przodu szyją przypominał olbrzymią czapkę i Agacie zachciało się śmiać.

- Słucham, proszę kontynuować.

W głosie profesora brzmiało wyraźne ponaglenie. Agata potarła wierzchem dłoni czoło, jeszcze raz rzuciła okiem na tablicę, po czym z nagłą determinacją powiedziała patrząc mu prosto w oczy:

- Nie wiem, panie profesorze, ja już nic nie wiem... Grunald podszedł bliżej i wziął ją za ramię:

- Źle się czujesz, moje dziecko?

- Tak, panie profesorze, ja...

- Nie szkodzi, usiądź, odpocznij... - Tu Grunald ujął się za brodę. - A swoją drogą, czy mogłabyś mi wyjaśnić, dlaczego przyjęłaś współczynnik spadku wzmocnienia 0,9? Co prawda potwierdza się to w toku dalszego rozumowania, ale muszę ci się przyznać, że nie nadażalem za tobą i teraz...

Agata z przerażeniem patrzyła na krzywe linie wykresów. "Czarna magia - pomyślała. - Jak to mogłam narysować, przecież nic z tego nie rozumiem!"

- Kiedy, panie profesorze, ja teraz... nie bardzo pojmuję. To jest, chciałam powiedzieć, nie jestem w stanie wytłumaczyć panu...

- Hmm, tak - Grunald w dalszym ciągu pocierał ręką brodę i Agata słyszała chrzęst nie ogolonego zarostu.

- Taak - powtórzył. - Jest pani zapewne bardzo zmęczona. Zadziwiająca historia - wyczuła w jego głosie jak gdyby cień podejrzliwości. - Jeszcze porozmawiamy na ten temat, a na razie koniec zajęć, dziękuję państwu.

Gdy sala opustoszała, profesor podszedł do tablicy, wziął do ręki kredę i po dłuższym namyśle dopisał pod ostatnimi wzorami parę znaków matematycznych, myślał przez chwilę, po czym skreślił je zamaszystym ruchem, szybko dopisał następne i znowu popadł w zamyślenie. Po paru minutach w pustej sali rozległ się suchy trzask i spomiędzy palców profesora Grunalda wysunęła się kreda przełamana na dwa kawałki. Przez moment stał jeszcze przy tablicy, wreszcie wzruszył bezradnie ramionami i nieco przygarbiony ruszył zmęczonym krokiem do wyjścia.

- Doprawdy nic z tego nie rozumiem.

Agata z pasją darła w drobne kawałeczki niepotrzebny już bilet tramwajowy. Siedziała z Karolem w zadymionym wnętrzu kawiarni. Przed nią stała wystygła już filiżanka nietkniętej kawy.

- Wyobraź sobie, że gdy ocknęłam się z tego, bo ja wiem, chyba jakiegoś transu, byłam taka sama mądra jak przedtem, to znaczy nie wiedziałam nic. Potrafisz to wytłumaczyć?

Karol z uwagą przypalał papierosa. Agata odczekała chwilę i mówiła dalej

- Rozumiem, zaraz mi powiesz, że nie jesteś psychologiem, ale może mi wytłumaczysz, co ci strzeliło do tej pustej łepetyny, żeby rzucać w Grunalda papierową raketę? Od tego się wszystko zaczęło ! Masz szczęście, że nikt poza mną nie wie, kto to zrobił, boby cię zlinczowali ! Ale powiedz mi, smutny idioto, po coś to zrobił? To jest dla mnie bardziej zagadkowe niż moje wygłupy przy tablicy!

Karol od dłuższego czasu uśmiechał się lekko. Kiedy Agata przerwała, żeby zaczerpnąć oddechu, podniósł uspokajającym gestem rękę.

- Wystarczy, Aga, wcześniej czy później musiało dojść między nami do tej rozmowy. Gdyby nie to, że spełniłaś nadzieje, jakie w tobie pokładałem, nie mógłbym ci niczego wytłumaczyć. Przy obecnym stanie rzeczy nawet musimy ze sobą porozmawiać.

- Jakie nadzieje spełniam?

- Dowiesz się o tym, ale to nie jest miejsce do takich rozmów. Dysponujesz wolnym

popołudniem?

- Coś ty taki poważny, Karolku? Jesteś oficjalny, jak na Przyjęciu dyplomatycznym.

- Bo i rozmowa będzie poważna. Jeżeli ci to odpowiada, zapraszam cię do siebie.

- Teraz ?

- Jeżeli masz czas...

- Mój drogi, ciekawa kobieta jest zdolna do największych szaleństw, jedziemy!

Karol mieszkał na peryferiach miasta w małym, piętrowym domku. Jak wynikało z wizytówek przy drzwiach, górę domku zajmowały dwie rodziny, parter zaś - Karol z matką. Karol zamknął za sobą furtkę i omijając schodki wiodące do drzwi budynku poprowadził Agatę w prawo w kierunku łagodnie spadającego w dół wjazdu do garażu.

- Samochodu nie mamy, więc urządziłem tutaj sobie coś w rodzaju pracowni - wyjaśnił w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Agaty. - Wygodniej będzie, jeśli tu porozmawiamy. - Stajesz się coraz bardziej tajemniczy.

- Nie szkodzi, za chwilę wszystko zrozumiesz.

Gdy weszli do środka i Karol zapalił światło, Agata gwizdnęła z podziwu. Wnętrze garażu urządzone było jak laboratorium! Dwa stoły w kącie pomieszczenia zastawione były przyrządami pomiarowymi, na trzecim, stojącym nieco z boku, stał gotowy zestaw, w którym Agata rozpoznała znajomy układ montowany przez Karola na ćwiczeniach. Już wtedy powzięła niejasne podejrzenie, a teraz miała pewność: to na pewno nie było nic związanego z tematem wykładów. Powiodła wzrokiem po ścianach. Pęki kabli biegły z tablicy rozdzielczej do baterii akumulatorów i do trójfazowego wtyku.

- Siadaj, proszę.

Karol podsunął jej krzesło.

Sam usiadł naprzeciwko i milczał przez chwilę przekładając z ręki do ręki podniesiony ze

stołu śrubokręt.

- No? - powiedziała przynaglająco.

- Zastanawiam się, jak cię wprowadzić w zagadnienie. Chyba zacznę od początku.

- Byle nie od Adama i Ewy.

- Nie żartuj. Powiedz mi, co wiesz na najmodniejszy ostatnio temat, to znaczy o tak zwanych "mózgach elektronowych" ?

- No cóż, chyba tyle, co przeciętny człowiek, plus pewne wiadomości nabyte na studiach, w każdym razie na pewno nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

- Czyli wiesz niewiele. Ale chyba wystarczająco dużo, ażeby zrozumieć, że nawet najdoskonalsza maszyna elektronowa nigdy nie będzie zdolna samodzielnie rozwiązać jakiegoś problemu.

- No, oczywiście.

- Czy wyobrażasz sobie, jakiej wielkości jest przeciętny "mózg elektronowy"? Zajmuje objętość kilkudziesięciu metrów sześciennych. A czy wiesz, jak wielki musiałby być "mózg", którego pojemność pamięci i zdolność przyjmowania informacji byłaby równa mózgowi ludzkiemu? Jego gabaryty równałyby się w przybliżeniu gabarytom kilku budynków mieszkalnych. Przy czym w dalszym ciągu pozostałby jedynie elektronową maszyną do liczenia, niezdolną do samodzielnego rozwiązania najmniejszego problemu.

- Wszystko to bardzo ładnie, ale nie rozumiem...

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Uważam, że praca nad dalszym doskonaleniem tych "elektronowych liczydeł" nie ma sensu.. W posiadaniu człowieka znajduje się najdoskonalszy aparat stworzony przez naturę, a mianowicie jego własny mózg! Nie wiem, czy dotarło do ciebie, że przed przejściem na elektronikę byłem słuchaczem czwartego roku medycyny. Tak się złożyło, że mogłem sobie pozwolić na rzucenie medycyny i zaczęcie studiów od nowa. Zresztą zawód lekarza nie leżał

nigdy w moich planach. Tamte cztery lata dały mi pewną znajomość fizjologii, która była konieczna przy pracach, jakie prowadziłem. Jedyne ściśle powiązanie medycyny z elektroniką może dać w przyszłości jakieś wyniki... Ale nie o tym chciałem mówić.

W chwili obecnej medycynie znane są trzy rytmy pracy mózgu. Prowadzone są badania, osiągnięto już pewne rezultaty. Można na przykład, obserwując na specjalnej aparaturze zapis pracy mózgu człowieka pogrążonego w głębokim śnie, powiedzieć, kiedy mu się coś śni, i określić z grubsza natężenie emocjonalne jego sennych przywidzeń. Wiemy, jak mózg ludzki reaguje na ból, strach i szereg innych bodźców tego rodzaju. Ale to właściwie wszystko. Medycyna wprost przerażająco mało wie o tym tak doskonałym, ale zarazem skomplikowanym organie. Tymczasem ja poszedłem dalej, znacznie dalej. Dokonałem odkrycia, którego nie zawaham się nazwać najdonioślejszym odkryciem wszystkich czasów! Odkrycia, które zaważy na dalszych losach ludzkości! Możesz sobie darować ten drwiący uśmiech, słuchaj teraz uważnie: odkryłem czwarty rytm - rytm geniuszu! Nazwałem go rytmem "g-s":. To, co widzisz na tamtym stole, to odbiornik energii wypromieniowywanej przez ludzki mózg. Nie znaczy to wcale, że mogę czytać ludzkie myśli, ale jestem w stanie powiedzieć, kiedy się złości, kiedy odczuwasz przyjemność, a kiedy rozwiązujesz jakiś problem. I teraz najważniejsze: odbierając całe pasmo, w jakim pracuje twój umysł, mogę powiedzieć, czy masz "rytm geniuszu".

- A więc nie każdy ma ten rytm?

- Nie. I tutaj sprawa się komplikuje. Można go mieć i umrzeć nie wiedząc o tym. Bowiem sam fakt posiadania o niczym nie świadczy. Rytm "g-s" należy w sobie wykształcić, odpowiednio go wzmocnić i dopiero potem osiąga się wyniki. W ciągu wieków zaledwie kilku ludzi to uczyniło.

Jednym z nich był Einstein.

Początkowo przypuszczałem, że Grunald jest tym, o kogo mi chodzi. Musiałem przebadać całość jego reakcji z silnym zdenerwowaniem włącznie i stąd mój wygląd z papierową strzałą.

Niestety, zawiodłem się. Grunald jest wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie, ale może opanować tylko wąski wycinek wiedzy. Nie ma rytmu "g-s".

Karol wreszcie zamilkł i Agata oderwała wzrok od swoich paznokci.

- No cóż, Karolku, nie bardzo wiem, co o tym sądzić, ale coś mi się wydaje, że robisz mnie "w jelenia". Przyznaję, że to, co mi opowiedziałeś, było bardzo zajmujące i nie pozbawione pewnego wdzięku, lecz...

- Ja jeszcze nie skończyłem, zresztą przewidywałem twoją reakcję. Teraz słuchaj uważnie, bo dalszy ciąg dotyczy przede wszystkim ciebie.

- ?

- Nie powiedziałem ci jeszcze najważniejszego. Będzie to dosyć luźna analogia, ale w pewnych przypadkach możemy uważać mózg ludzki za pewnego rodzaju rezonator. Znając dokładnie właściwości danego osobnika mogę przez dodatnie sprzężenie zwrotne wzbudzić jego rytm "g-s" i doprowadzić go do rezonansu. że jest to możliwe i jak to się objawia, przekonałaś się sama na dzisiejszych ćwiczeniach.

- Jak to ?

- Teraz chyba rozumiesz, Aga, jaki cel ma nasza rozmowa. Ty masz ten rytm, a ja go potrafię pobudzić. Przesadziłem zresztą trochę i, ponieważ przesterowanie powoduje chwilowy spadek inteligencji, wynikło stąd twoje niespodziewane zakończenie odpowiedzi. Daję ci szansę geniuszu i tylko od ciebie zależy, czy ją wykorzystasz!

Agata milczała. Opowiadanie Karola brzmiało zupełnie jak fragment powieści fantastyczno-naukowej. Z drugiej strony jednak Agata pamiętała jeszcze swoje "objawienie" przy katedrze profesora Grunalda.

- Pozwól mi zebrać myśli, nie bardzo wiem, jak mam to rozumieć.

Karol wstał i położył jej ręce na ramionach.

- Rozumiesz chyba, że nie masz wyboru. Po tym, co tutaj usłyszałaś, musimy zostać

wspólnikami. Moja tajemnica nie może wyjść poza obręb tego pomieszczenia!

- A jeżeli się nie zgodzę? Karol rozłożył ramiona.

- Moja droga, nie sądzisz chyba, że nie przewidziałem takiej możliwości. Mam dokładne spektrum pracy twojego mózgu i nawet bez uciekania się do większej przemocy fizycznej mogę za pomocą tego tutaj aparatu pozbawić cię pamięci, doprowadzić do poziomu sześciolatniego dziecka i ubezwłasnowolnić na całe życie.

Agata przygryzła wargi.

- Daj mi papierosa.

Trzęsącymi się rękami zapalała zapalną, siarczany łupek ułamał się i z sykiem odskoczył w bok parząc ją boleśnie w wierzch dłoni. Pośliniła oparzone miejsce.

"Będzie bąbel" - pomyślała.

- Więc?

W głosie Karola brzmiały ponagłające nuty.

- Nie rozumiem, co tobie z tego przyjdzie, jeżeli się zgodzę. Karol uśmiechnął się.

- W tej chwili nie myśl o mnie. Czy rozumiesz, co to znaczy być geniuszem absolutnym?

Oznacza to nieograniczone możliwości, a co za tym idzie - nieograniczoną władzę! To wszystko daję ci do ręki, a ty się jeszcze zastanawiasz! "Nieograniczoną władzę - pomyślała Agata. - Więc o to ci chodzi. Na pewno liczysz na to, że jako najbliższy współpracownik sam będziesz miał udział w tej władzy. Nie masz rytmu geniuszu, więc musiałeś wziąć sobie współnika.

A wyobraź sobie, że ja nie mam takich aspiracji - myślała dalej nic a nic mnie nie pociąga twoja »nieograniczona władza«. Chociaż może i to ma swój urok..." Oczyma wyobraźni zobaczyła siebie za katedrą, jak przed zasluchanym audytorium odkrywa nowe, nieznanne prawdy, które burzą dotychczasowe kanony wiedzy. Ale w tym momencie złośliwy chochlik podsunął jej jeszcze jeden

obraz: Karolek zgarbiony ze swoim aparatem ze skupieniem manipuluje gałkami, wiązką fal elektromagnetycznych pobudza do działania jej rytm "g-s". Skrzywiła się z niesmakiem. "Zostać żywym robotem, żyjącą maszyną elektronową? To mi zupełnie nie odpowiada. Zresztą skąd mogę wiedzieć, do czego byłabym zdolna jako »geniusz absolutny«. Nie wolno mi ryzykować, trzeba znaleźć jakieś wyjście. Jeżeli się nie zgodzę - uczyni ze mnie debilkę, co robić ?

Na ten pomysł wpadła zupełnie niespodziewanie. Agata myślała jeszcze przez chwilę, rozważała wszystkie warianty swojego planu, ostateczna konkluzja brzmiała: to powinno być możliwe.

Podniosła wzrok na Karola.

- Zgoda. Kiedy zaczynamy?

Karol odetchnął z nie ukrywaną ulgą.

- Wiedziałem, że się zgodzisz. A zaczynamy od razu. Wszystko jest przygotowane.

Tak jak sądziła, problem był dziecinnie prosty. Z pobłażliwością patrzyła na Karola, który wstał już od stołu z aparaturą i podszedł do niej.

- I jak się czujesz, Agata?

- Normalnie, tyle że... To są rzeczy, których nie potrafię ci wytłumaczyć.

- Rozumiem. Co mamy zamiar robić ?

- Na razie chyba nic. Chciałabym się tutaj jeszcze trochę rozejrzeć.

- Patrzysz na wszystko innymi oczami, prawda. Twój rytm "g-s", pobudzony przez mój wzbudnik, sprawia, że widzisz świat inaczej niż my wszyscy. Może nawet widzisz czwarty wymiar ?

- W pewnym sensie tak. Ale na razie myślę o czym innym. Patrzyła na przyrządy rozstawione na stołach. Przy tym wyposażeniu mogła wykonać swój plan prawie natychmiast. Jej pomysł, na który wpadła jeszcze przed pobudzeniem rytmu "g-s", polegał na jednorazowym zakrzywieniu pętli czasowej.

Przy odpowiednim policzeniu krzywizny - czas cofnie się o sześć godzin i Agata znowu stanie przed drzwiami swojej pracowni. Należało jedynie utrwalić sobie w podświadomości niechęć do Karola, żeby cała historia nie powtórzyła się po raz drugi. Trudność polegała na tym, aby w sposób jednorazowy zakłócić strukturę czwartego wymiaru, bowiem w przeciwnym wypadku, jeżeli pętla się zamknie, ludzkość po wsze czasy obracać się będzie w jednostajnym kołowrocie.

Teraz okazało się to łatwe i nieskomplikowane. Trzeba tylko spowodować dezintegrację ogniw adekwatnej symbiozy poprzez preponderację deglomeracyjną. Technicznie rzecz nie była trudna i Agata w przeciągu paru minut skończyła montaż odpowiedniego zestawu.

- Co robisz ? - zapytał Karol.

- Mały eksperyment - odpowiedziała i nacisnęła przełącznik.

Agata biegła po schodach przeskakując po dwa stopnie naraz. Spóźnić się na ćwiczenia, kiedy pracownię prowadził profesor Grunald, byłoby kompletnym dnem. Na szczęście zdążyła już dopaść drzwi, gdy z bocznego korytarza wyłoniła się lekko przygarbiona sylwetka profesora. Siadała przy swoim stole, gdy jakiś impuls kazał jej odejść na bok.

- Można? - zwróciła się do siedzącej naprzeciw niewysokiej szatynki.

Ta kiwnęła głową i odsunęła notatki, robiąc Agacie miejsce. Na pytające spojrzenie Karola, swojego stałego sąsiada, Agata odpowiedziała niewyraźnym uśmiechem, po czym z całkiem niewytłumaczoną niechęcią spojrzała na jego podłużną i pryszczatą twarz. "Właściwie nic mi nie zrobił - pomyślała - a jakoś straciłam do niego przekonanie" wyjmując skrypt uraziła się boleśnie w rękę. Ze zdumieniem zauważyła na wierzchu dłoni świeży ślad po oparzeniu. "Gdzie ja się zdążyłam tak urządzić?" - zastanawiała się. Ale zaraz przestała o tym myśleć, bo Grunald zaczął podawać tematy ćwiczeń.

STEFAN WEINFELD

WŁADCY CZASU

- Wynik negatywny.

- Doświadczenie numer siedemset dwadzieścia jeden... wynik negatywny... - powtórzył pod nosem Art, zapisując w grubym zeszycie rezultat. Odłożył długopis, pochylił się w tył na oparciu krzesła i spojrzał na tarczę wiszącego na ścianie zegara. - Już dziesiąta... siedzimy tu prawie czternaście godzin, trzy doświadczenia, wszystkie nieudane. Teraz nastąpi co najmniej tydzień przerwy na ustalenie nowych parametrów, znów kilka doświadczeń i żadnej gwarancji, że wynik będzie pozytywny.

- Załamujesz się? - zapytał Ben Watto.

- Bynajmniej, to musi wreszcie wyjść. - Wyraz "musi" Art Markan wymówił z naciskiem. -

Teoretyczne rozwiązanie jest z pewnością prawidłowe i niezależnie od wszelkich trudności eksperymentu musi wreszcie znaleźć potwierdzenie. Tylko kiedy? Czy Kelew nie straci wreszcie cierpliwości i nie zrezygnuje z finansowania prac? Przecież nie mamy za sobą nikogo, kto chciałby nam udzielić poparcia. Jeśli Kelew wycofa się z tego interesu - a przecież nikt nawet nie wie, co go skłania, żeby łożyć na to grube pieniądze - znajdziemy się w tym samym punkcie, co przed trzema laty...

- Nie mając pieniędzy, a mając przeciwko sobie wszystkie fizyczne znakomitości - kontynuował Ben.

- Właśnie. I dlatego w Kelewie cała nasza nadzieja. Musimy przyspieszyć doświadczenia.

Wiesz co ? A może powtórzylibyśmy siedemset siedem? Pamiętasz, stwierdziliśmy później, że łożysko było zatarte; to mogło zniekształcić wynik! - Późno już... ale spróbujemy. A zatem... jakie dane?

Art pochylił się nad zeszytem i powiedział: - Ro ksi gamma zero cztery siedemnaście omega

jeden.

Ben Watto usiadł znów przy pulpicie sterowniczym nastawiając pokręta. Wdusił biały przycisk i duża tarcza zaczęła szybko wirować dokoła osi, stopniowo osiągając maksymalną liczbę obrotów. Wydawało się, że pęd powietrza wywołany wirowaniem tarczy porwie umocowany tuż na wprost niej, w odległości kilku centymetrów i wycelowany w linię wykreśloną przy obwodzie, pistolet. Ale pistolet tkwił nieruchomo i nieruchomo skierowane były na wylot lufy trzy mlecznego koloru rury, owinięte zwojami przewodów. Ben nacisnął teraz czerwony przycisk i rury zaśniły różowawą poświatą. Obaj mężczyźni patrzyli na ten widok jak urzeczeni. Za naciśnięciem zielonego przycisku zapłonęło za tarczą jaskrawe światło i jednocześnie rozległ się strzał. Ręce Bena uwijały się teraz szybko po pulpicie. Poświata rur zgasła, tarcza zaczęła zwalniać obroty. Doświadczenie było skończone.

Art, patrząc na wirującą już znacznie wolniej tarczę, ziewnął. - Za godzinę będę już w łóżku, czeka mnie pięć godzin rozkosznego snu. jeszcze tylko zapiszę, że wynik siedemset siedem negatywny, bo trudno uwierzyć, aby właśnie teraz miało być inaczej.

Tarcza zatrzymała się, Ben zbliżył się do niej z miarką.

- Art ! Art, trzy i pół milisekundy !

Markan jednym susem przeskoczył biurko, dzielące go od aparatu. - Niemożliwe! Tak, trzy... nawet o kilkadziesiąt mikrosekund więcej! Ben, chłopie! Wyszło, wyszło! Wyszło, to przekracza wszelkie możliwe granice błędu pomiaru. Ależ minę zrobi ten stary Patson! Dzwonimy do Kelewa!

- Teraz ? - zapytał wyraźnie wzruszony Ben.

- Teraz. Sześćset siedemdziesiąt pięć dwieście trzydzieści jeden... - powtarzał, wybierając na tarczy aparatu każdą z cyfr. - Pan Kelew? John Kelew? Ach, to pan, nie poznałem po głosie... Mamy już wynik pozytywny, słyszy pan? Tak, bez wątpliwości. Oczywiście, powtórzymy to doświadczenie, nawet wielokrotnie, ale osobiście jestem przekonany... Przyjeżdża pan? Naturalnie,

czekamy!

Odłożył słuchawkę i, zwracając się do towarzysza, rzekł: - Będzie za godzinę. Zdążymy jeszcze raz sprawdzić. Istotnie, gdy po upływie godziny otworzyły się bezszelestnie drzwi laboratorium i do sali wszedł ze zwykłą swą ponurą miną Kelew, w zeszycie zanotowany był już wynik doświadczenia siedemset siedem A: wynik pozytywny.

Kelew usiadł nieproszony, nie witając się, jak gdyby przed chwilą zaledwie wyszedł był na korytarz.

- Powtórzyliście doświadczenie?

- Tak. Wynik identyczny, trzy i pół milisekundy.

- Trzy i pół milisekundy - wypowiedział Kelew rozciągając słowa. - To istotnie dużo, jeśli w doświadczeniu nie ma błędu metodycznego. Nie pomyliliście się gdzieś w założeniu?

- Raczej nie. Ale prześledźmy je raz jeszcze - zabrał głos Art. - Z chwilą gdy otwór w punkcie zerowym tarczy znajdzie się na wprost pistoletu, promień świetlny pada przezeń na fotokomórkę i powoduje automatyczne odpalenie. Uwzględniając prędkość początkową pocisku, odległość od komory naboju do tarczy i prędkość liniową okręgu na tarczy na wysokości lufy, otrzymujemy ten oto punkt - wskazał palcem - który powinien być normalnym śladem pocisku. Wyliczenia te potwierdzone były zresztą wynikiem praktycznym w czasie poprzednich, nieudanych doświadczeń. Teraz otrzymaliśmy ślad pocisku o tutaj - ponownie wskazał palcem - i oznacza to, przy danej prędkości kątowej, że pocisk uderzył w tarczę trzy i pół milisekundy później. Nie można tego interpretować inaczej, jak tylko w ten sposób, że...

- Że? - podchwycił Kelew.

- Że w ciągu tego właśnie okresu pocisk, pomiędzy lufą i tarczą, znajdował się w polu czasu stojącego.

Kelew zapalił papierosa z taką miną, jakby ta właśnie czynność najbardziej go w tym

momencie pochłaniała. Po chwili rzekł: - To dużo i mało jednocześnie. Jako eksperymentalne potwierdzenie słuszności waszej teorii bardzo dużo. Jako wynik, na którym należałoby oprzeć praktyczne wykorzystanie waszego odkrycia, diabelnie mało. Ile lat wam jeszcze potrzeba, aby wytworzyć ciągle pole czasu stojącego na przeciąg chociażby godziny ?

Teraz Art Markan zapalił papierosa. Ben, który znał go od lat, wiedział, że Art nigdy nie pali w laboratorium: teraz więc wyraźnie chciał zyskać chwilę do namysłu. Rzekł wreszcie: - Mój przyjaciel Warto potwierdzi chyba moje zdanie, że to byłby zupełnie nowy etap naszej pracy i bez opracowania dokładnych planów nie można do niczego się zobowiązać.

- Tak - włączył się Ben - dotychczas wszystko zależało od nas dwóch i pomoc tuzina inżynierów i półsetki techników nie byłaby przyspieszyła sukcesu nawet o jeden dzień. Teraz wszystko wygląda inaczej: zbudowanie urządzenia nadającego się do praktycznego wykorzystania wymaga pieniędzy i ludzi. Im większymi sumami będziemy dysponować, im więcej ludzi nadających się do tych prac będziemy w stanie zaangażować, tym szybciej uzyskamy to, o co panu chodzi. Ostatnie słowo należy więc do pana.

Kelew wstał z krzesła, doszedł do pulpitu sterowniczego przyglądając mu się w zadumie.

- Wysokość sum, jakie trzeba będzie przeznaczyć na dalsze prace, nie gra tu najmniejszej roli - powiedział. - Trudność polega tylko na tym, że nie mogę stworzyć tu specjalnych zakładów, które zajęłyby się produkcją aparatury. Bardziej by mi odpowiadało, gdyby panowie zamawiali po prostu części zaprojektowanej przez siebie aparatury w jakichkolwiek zakładach i następnie zmontowali całość. Byłoby przy tym pożądanym, aby korzystać z usług kilku różnych zakładów tak, aby tajemnica zamówienia nie została przedwcześnie ujawniona. - Kosztowałyby to pana znacznie drożej - zauważył Art. Poza tym wynikałoby z pańskich słów, że nie życzy pan sobie opublikowania naszego odkrycia. Muszę panu lojalnie wyznać, że nasze zamierzenia kolidują w tej mierze z pańskimi.

Pracowaliśmy wiele lat, aby wreszcie dojść do tego, co pan dzisiaj zobaczył. Zrezygnowaliśmy z

kariery, z pozycji w świecie naukowym, z życia osobistego. Proszę nas zrozumieć, nie potrafilibyśmy się tego wyrzec. Wiemy, że bez pańskiej pomocy niczego byśmy nie dokonali i nie mamy najmniejszego zamiaru przemilczeć pańskiego udziału w tej pracy. Jednakże wyrzeczenie się...

- Nie mówię wcale o wyrzeczeniu się - przerwał Kelew, który przysłuchiwał się ze spokojem podnieconym wywodom Arta proszę tylko o zrozumienie moich racji. Zaangażowałem w tę pracę znaczną część swojego majątku i pragnąłbym ją przynajmniej odzyskać, ubiegając innych w produkcji urządzeń praktycznie wykorzystujących własności pola czasu stojącego. Skoro tylko będę przygotowany do wkroczenia na rynek tajemnica przestanie być tajemnicą i panowie będą mogli opublikować tyle prac, ile tylko sami zechcecie. Udzielę wam jeszcze w tym pełnej pomocy finansowej.

- W jaki sposób wyobraża pan sobie praktyczne zastosowanie naszego odkrycia?

- Myślę, że możliwości wykorzystania pola czasu stojącego są bardzo duże. Istnieje wiele sposobów uzyskiwania informacji o przebiegu ciągłego procesu technologicznego i wpływania na ten przebieg, ale nie zawsze jest możliwe przerwanie takiego procesu i następnie podjęcie go po raz wtóry akurat w tym punkcie, w którym został przerwany. Nie muszę chyba panom tłumaczyć dokładniej, że uzyskanie takiego sposobu - to znaczy po prostu oddanie danej aparatury wpływowi pola czasu stojącego - doprowadzi do rewelacyjnych wprost zmian w różnych dziedzinach przemysłu. A akcja ratownicza przy pożarze, kiedy nie ma akurat w pobliżu odpowiedniej koncentracji ludzi i sprzętu? Wystarczy po prostu zatrzymać upływ czasu w rejonie pożaru, starannie i bez specjalnego pośpiechu przygotować wszystko, co trzeba dla zgaszenia ognia, i dopiero wtedy, po wyłączeniu pola czasu stojącego, przystąpić do akcji. Wyobrażacie sobie, panowie, jak ogromnych strat uda się uniknąć? Krótko mówiąc odkrycie wasze ma duże znaczenie praktyczne, ja zaś zamierzam je odpowiednio wykorzystać, wam, panowie, pozostawiając całą sławę i zapewniając

oczywiście odpowiednie dochody. A więc: zgoda na moją propozycję? Warto i Markan spojrzeli w milczeniu na siebie i bez entuzjazmu kiwnęli potakująco głowami.

Prace potoczyły się teraz szybko, a rezultaty były nader zachęcające. Obaj fizycy opracowali konstrukcję urządzenia dużej mocy i sukcesywnie wysyłali dokumentację i zamówienia na poszczególne fragmenty aparatury, jednocześnie zaś korzystając ze zbudowanego przez siebie generatora czasu stojącego - badali zdumiewające właściwości wytwarzanego pola. Okazało się, że w odróżnieniu od innych znanych w fizyce pól miało ono ograniczony zasięg oddziaływania, przy czym w zasięgu tym natężenie posiadało wartość stałą. Inaczej mówiąc niewidoczna, lecz wyraźnie zarysowana granica oddzielała przestrzeń, w której wszystko działo się normalnie, od tej przestrzeni, w której czas w ogóle nie upływał. Życie przemijające, którego końcem musiała być śmierć, od życia wiecznego, w istocie będącego śmiercią, dzielił jeden krok. Nastręczało to fizykom wiele okazji do rozważań filozoficznych, które urywane były właściwie tylko wtedy, gdy zjawiał się Kelew. A Kelew stał się w pracowni częstym gościem: interesował się wszystkimi szczegółami prac, brał udział w montażu nadsyłanych z różnych stron fragmentów i w uruchamianiu aparatury. Jego stosunek do badaczy można byłoby nazwać opiekuńczo-przyjacielskim, jakkolwiek pobudki tej zmiany nie były dostatecznie jasne ani dla Arta, ani dla Bena.

W każdym razie z inicjatywy Kelewa dla generatora mocy czasu stojącego wybudowany został na wzgórzu specjalny budynek o nowoczesnej konstrukcji w kształcie ogromnego okrągłego tortu, z rozsuwanymi zewnętrznymi ścianami. wśród znacznej liczby kręcących się zwykle w tym budynku inżynierów i techników, zaangażowanych dorywczo do prac montażowych, Kelew wyraźnie wyróżniał fizyków, okazując im specjalne względy. Nastawał na to, aby Art i Ben kończyli pracę nie później niż o szóstej po południu, jak również aby wykorzystywali weekendy na odpoczynek i wycieczki. Na początku lata, po wstępnym uruchomieniu generatora mocy, Kelew sam zarządził wstrzymanie na dwa tygodnie pracy, aby umożliwić Markanowi i Warto - pierwszy od

trzech lat - wyjazd na krótki urlop. Obaj wyjechali razem. Niemożliwe wydawało się jakiegokolwiek inne rozwiązanie, tak byli zżyci ze sobą i tak byli odseparowani od innych. Zaszyli się w głuszy leśnej, nad niewielkim jeziorkiem, oddzieleni kilkudziesięcioma milami wierzchołkami od najbliższej ludzkiej osady. Rybołówstwo dawało wypoczynek i urozmaicało jadłospis, składający się głównie z konserw i sucharów. Apetyty dopisywały, po tygodniu już zabrakło wołowiny i mleka skondensowanego. Art wybrał się rano autem do miasteczka, aby uzupełnić zapasy; wrócił wczesnym popołudniem wzburzony i podniecony, z dala już wymachując gazetą.

- Ben, Ben! - krzyczał. - Czytaj!

I zanim jeszcze wyskoczył z wozu, podsunął mu pod oczy artykuł z ogromnym nagłówkiem:

"Skandal na południowo-zachodniej linii kolejowej. Wielka wyodrębniona magistrala, wybudowana w ciągu siedmiu miesięcy kosztem przeszło siedemdziesięciu milionów, okazała się niepotrzebnym wydatkiem, stwierdza adwokat Barrow. Ekspres »Złoty Ptak«, który dzięki niej miał uniknąć wszelkich przeszkód na trasie i rozwijać szybkość dwustu pięćdziesięciu mil na godzinę, Spóźnił się wczoraj z nie ustalonych przyczyn o przeszło dziewięćdziesiąt minut. Specjalna komisja bada przyczyny wydarzenia. Maszynistę, negującego opóźnienie, skierowano na badania psychiatryczne..."

Ben przeczytał artykuł dwukrotnie i powiedział wreszcie tonem człowieka, który nie chce uwierzyć w fakt oczywisty:

- To niemożliwe!

- Zrozum, Ben, to przecież magistrala bez stacji pośrednich, bez skrzyżowań, bez semaforów.

"Złoty Ptak" nie zatrzymuje się nigdzie, maszynista nigdzie nie zwalnia. Jeśli nie było w drodze awarii i przymusowego postoju, ekspres nie ma po prostu możliwości takiego opóźnienia.

- Może tachometr był uszkodzony i różnica średniej szybkości spowodowała opóźnienie.

- Maszynista twierdził, że utrzymywał stale wyznaczoną mu szybkość, i w dodatku

pokazywał zegarek, według którego przybył na miejsce dokładnie według rozkładu jazdy. Mało prawdopodobne, aby zepsuł się i zegarek, i tachometr. Można byłoby co prawda podejrzewać złą wolę maszynisty. Ale jakie motywy mogłyby nim kierować? W dodatku jak wytłumaczyć fakt, że ani konduktorzy, ani pasażerowie nie dostrzegli opóźnienia i byli przekonani, że przyjechali we właściwym czasie ?

- Chcesz więc powiedzieć, że...

- Tak. Przez dziewięćdziesiąt minut pociąg znajdował się w polu czasu stojącego. Któż ze znajdujących się w nim ludzi mógł to zauważyć, jeśli te półtorej godziny zostało po prostu wycięte z ich życia? Tylko - kto to zrobił? Kto jeszcze oprócz nas wytworzył czas stojący?

- Daj mi mapę!

Rozłożył mapę na ziemi, pochylił się nad nią.

- Magistrala "Złotego Ptaka" przebiega tędy... dalej skręca na północny zachód... omija miasto Malagona, z jego ośrodkiem uniwersyteckim, w którym można byłoby się spodziewać istnienia generatora czasu stojącego... omija zakłady fizyczne w Lakepool... wielkie nieba!

Palec Bena utknął w miejsc, Att spojrział - i zrozumiał. - Racja, przecież magistrala przebiega w odległości dwóch kilometrów od naszego laboratorium. Sądysz... ? - nie skończył pytania.

- Nie wiem. Jedziemy? - jedziemy.

Po piętnastu godzinach szaleńczej jazdy przybyli na miejsce.

Otworzyli bramę wejściową i zajechali przed budynek, mocowali się przez chwilę z zamkiem u drzwi wejściowych i wreszcie wbiegli do środka. Było oczywiste, że w czasie ich nieobecności prowadzono tu bardzo intensywne prace. Generator mocy pola czasu stojącego umieszczony był na platformie, która mogła być przetaczana po szynach dokoła całego budynku. W hali znajdowała się również aparatura doświadczalna. Dodatkowe stanowisko montażowe wskazywało na to, że były tu czynione przygotowania do zmontowania następnego generatora. Gdy Art zapalił światło i jaskrawy

blask świetlówek zmieszał się z szarym światłem poranka, ostre cienie urządzeń nadały całości wygląd szczególnie groźny. Fizycy nie zdążyli jeszcze rozejrzeć się dokładnie, gdy rozległ się ostry i nieprzyjemny głos Kelewa:

- Dzień dobry panom. A cóż to panowie robią o tak wczesnej porze ?

Pierwszy z zaskoczenia otrząsnął się Ben.

- Niespodzianka jest obopólna. W najśmielszych marzeniach nie podejrzewaliśmy, że możemy po powrocie zastać to, co zobaczyliśmy.

- Mają panowie coś przeciwko temu?

- To pan zatrzymał "Złotego Ptaka" ? - zapytał wręcz Art.

- Ja? -Kelew odpowiedział na pytanie Arta z takim spokojem, jak gdyby dotyczyło ono zjedzenia kolacji czy też wypalenia papierosa. Nie zwracając uwagi na wzburzenie swoich współpracowników pochylił się i pogłaskał wielkiego owczarka, który wbiegł do hali i dopadł go łasząc się u nóg.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, jakie mogą być następstwa takich zabaw ?

Kelew wyprostował się i ujął oburącz przewieszoną przez ramię laseczkę.

- Chcę powiedzieć, że dotychczas współpracowali panowie ze mną lojalnie i uczciwie, i będę rad, jeśli stosunki pomiędzy nami i nadal będą układać się na tych samych podstawach. Czas, aby się panowie dowiedzieli, że wasze odkrycie ma być dla mnie środkiem pomocnym nie tylko do zdobycia kapitałów, ale i do zdobycia władzy. Tylko człowiek silnej ręki może przeciwstawić się skutecznie naporowi ludzi, domagających się coraz dalej idących reform. Wasz generator jest idealnym do tego celu narzędziem. - Nie... nie spodziewaliśmy się takich możliwości wykorzystania naszych prac. To chyba niemożliwe - powiedział Art.

Kelew roześmiał się, mylnie pojawszy znaczenie ostatnich słów fizyka.

- Niemożliwe? Spójrzcie tylko, panowie!

Doszedł do pulpitu sterowniczego i przesunął dźwignię.

Zawarczał silniczek elektryczny i powoli zaczęła się rozsuwać zewnętrzna ściana budynku.

Następnie platforma z generatorem przesunęła się powoli po szynach, zajmując miejsce na wprost wylotu. Zapaliła się czerwona lampa i delikatnie zabrzączał transformator. Generator pracował.

Kelew zamachnął się i rzucił przed siebie laskę. Obracając się przeleciała za przesunięte ściany budynku i zawisała nagle nieruchomo w powietrzu, nie dotykając ziemi.

- Top, aport rozkazał.

Psisko rzuciło się w kierunku laski i w podskoku tuż poza budynkiem ugrzęzło jak gdyby w niewidzialnej galarecie. Jego rozrzucone nogi, na wpół tylko przymknięty pysk i otwarte oczy wywierały tym bardziej przykre wrażenie, że wydawało się nieprawdopodobne, aby w tej pozycji utrzymał się dłużej niż ułamek sekundy; a przecież tkwił tak nieruchomo. Kelew wyjął z kieszeni pistolet, zmierzył w kierunku psa i wystrzelił. Wydawało się, że chybił, gdyż pies nie zmienił swojej pozycji. Ale Kelew schował pistolet do kieszeni i, zwracając się w kierunku fizyków, rzekł: .

- Wciąż jeszcze żyje i żyć będzie jeszcze tak długo, jak ja tego zechcę, jednakże los jego jest już przesądzony.

Wyłączył generator i w tej samej chwili pies rzucił się w górę i opadł ciężko na ziemię, przebierając jeszcze przez chwilę łapami, zanim nie znieruchomiał zupełnie. Laska, po którą biegł, spadła o kilka kroków od niego. Art i Ben jednocześnie pobiegli w kierunku psa, jak gdyby pragnąc sprawdzić, czy to, co widzieli, działo się naprawdę. Zanim jeszcze wrócili, Kelew zapytał niecierpliwie:

- A więc jak, czy mogę liczyć na panów dalszą lojalną współpracę?

Ben, odwracając się od psa, krzyknął głośno i gniewnie:

- Nie!

- To szkoda.

Ben zdumiał się widząc, że jednocześnie z wypowiedzeniem tych słów na sali znalazło się kilku młodych ludzi o podejrzanym wyglądzie. Rzut oka na wielki zegar wyjaśnił tajemnicę tak nagłego ich pojawienia się. Była już godzina dziesiąta: oznaczało to, że przez dobrych pięć godzin znajdowali się w polu czasu stojącego. Kelew unieszkodliwił ich w ten sposób, by mieć czas na wezwanie swoich zbirów.

- Brać ich !

Brutalnie rzućni o ziemię i związani, Ben i Art zostali następnie zamknięci w ciasnej komorze, wykorzystywanej jako podręczny magazyn narzędzi używanych do montażu aparatury. Ręce wykręcone do tyłu i przywiązane do nóg oraz kneble w ustach odbierały możliwość ucieczki lub wezwania pomocy. Z hali dochodziły odgłosy gorączkowej krzątanimy. Art, próbując zmienić nieco swoją niewygodną pozycję, stuknął nogą o niewielką stojącą półeczkę. Zachwiała się, a znajdujące się na niej narzędzia głośno zabręczwały. Art sprężył się i kopnął w półkę tak silnie, jak tylko pozwalała mu na to jego pozycja. Przewróciła się uderzając go dotkliwie, ale narzędzia potoczyły się na podłogę. Przewracając się i tocząc, drętwiejąc chwilami od bólu, jaki sprawiały mu wpijające się w ciało sznury, Art przysunął się wreszcie do narzędzi i po omacku wyszukał w nich piłkę do metalu. Teraz należało ustawić się tak, aby drobnymi ruchami kończyn przeciąć sznury: Czynność ta była bardzo trudna i męcząca i Artowi wydawało się, że trwa długie godziny. Wreszcie udało mu się przetrzeć sznur wiązający ręce z nogami, następnie zaś rozciąć sznury na rękach. Teraz już bez kłopotu uwolnił nogi i wyjął knebel.

- Ben... Ben!...

Odpowiedziało mu niewyraźne mručenje. A więc Ben był przytomny, to dobrze. W ciemności komórki namacał ciało przyjaciela i nie zwlekając przeciął mu więzy. Ben wyprostował się i z westchnieniem pomasaował przeguby rąk.

- O mało nie zemdlałem... Co oni tam robią?

Obaj przysunęli się do drzwi i starali się uchwycić dochodzące spoza nich odgłosy. Wśród rumoru i stuku rozległ się nagle jakiś donośny głos:

- Szefie, szefie, wóz policyjny zajechał przed bramę

- Zmiatać stąd, szybko. Do starego budynku. Zadzwoń po was, kiedy będziecie potrzebni.

Calote, ze mną ! - rozkazał Kelew najwidoczniej jednemu ze swoich pomocników. W hali zrobiło się zupełnie cicho. Ben ostrożnie wyjrzał i zobaczył, że zupełnie opustoszała. Obaj wyskoczyli z komórki i doskoczyli do uchylonej ściany, kryjąc się za stojącą tam skrzynią akurat w momencie; kiedy wrócili Kelew i Calote.

- Pojechali, ale już się nami interesują - rzekł Kelew. Pakujemy dokumenty i wynosimy się stąd.

- A co z urządzeniami? - zapytał Calote.

- Unieruchomimy zaraz to wszystko w polu generatora doświadczalnego. Tamci przyjdą, wyłączą i wtedy dopiero wszystko wyleci w powietrze razem z nimi.

Markan i Watto wymknęli się z budynku i kryjąc się za krzakami, zbiegli ze wzgórza. Zanim jeszcze dotarli do ogrodzenia, zobaczyli z daleka kilka wozów policyjnych zatrzymujących się przed bramą. Agenci zaledwie zdążyli ją przekroczyć, gdy od strony starego budynku rozległ się strzał. Policjanci odpowiedzieli strzałami. W tym momencie fizycy zobaczyli nagle, że ściana budynku na wzgórzu powoli się rozsuwa i w otworze pojawia się platforma z generatorem pola czasu stojącego. Strzały policjantów nagle umilkły; ich osoby, znieruchomiałe w biegu, wyglądały jak dziwaczne małe posążki. Jednakże samochody pozostały poza granicą pola czasu stojącego. Znajdująca się w nich obsługa wykręciła i dojechała do ogrodzenia z innej strony budynku, próbując dotrzeć od tyłu.

- Patrz ! - zawołał nagle Art.

Ben spojrzał w stronę budynku i spostrzegł, że i inna część jego ściany rozsuwa się.

- Co oni chcą zrobić? -

Zatrzymać tych z tej strony generatorem doświadczalnym. - Przecież słyszałeś, że chcieli nim unieruchomić wybuch ładunków trotylu. Jeśli skierują na policjantów...

- Chyba jeszcze tego nie zrobili... A może o tym nie pomyśleli ?

Zanim jeszcze Art wypowiedział te ostatnie słowa, z budynku podniósł się słup ognia i kurzu.

Ciśnięci o ziemię, przysypani piaskiem, podnieśli się wreszcie, patrząc w kierunku ruin laboratorium.

- Zginęli. I wszystko zniszczone - powiedział wreszcie Ben. - Tak, Kelew zginął. A my musimy zaczynać od początku. - Nie jestem pewien, czy warto.

- Jako chłopiec byłem świadkiem śmierci człowieka, którego ukąsiła żmija. Surowicę przywieziono o godzinę za późno. Gdyby można było wtedy zatrzymać czas, byłby jeszcze długo żył. No, chodźmy. Tam, w ruinach, zdaje się, już na nas czekają.

Stefan Weinfeld

Pojedynek

- To tutaj, w tym punkcie - rzekł kapitan wskazując na mapę.

Na mapie nie było nic, w tym miejscu powinien być po prostu ocean, niespokojny Ocean Spokojny. A jednak dobijali do maleńkiej wysepki, zapewne wulkanicznego pochodzenia, z wyjątkowo ubogą jak na ten rejon świata roślinnością. Przy niewielkiej plaży brzegi były niemal zupełnie gołe, pokryte rzadką trawą. Nie trzeba było wiele trudu, aby się domyślić, że brak wody słodkiej odstręczył od tej wyspy roślinność, zwierzęta i ludzi. Zanim wyszli z kabiny, stateczek stał już na kotwicy, a załoga podkładała łańcuchy pod pierwszą z dwóch ogromnych skrzyń, umieszczonych na pokładzie. Padały głośnie komendy, zaskrzypiał dźwig, skrzynia drgnęła i uniosła się, aby zawisnąć nad burtą i powoli opuścić się na brzeg. Druga skrzynia powędrowała tą samą drogą. Następnie, na rozkaz kapitana, marynarze wynieśli i rozbili na pobliskim wzgórzu mały namiot, w którego cieniu postawili składany stolik i dwa leżaki. W namiocie znalazła się jeszcze skrzynia z lodem, do której włożono kilkanaście butelek różnych napojów, a wreszcie mały barek i kilka drobiazgów. - To wszystko - powiedział kapitan.

- W porządku - stwierdził wyższy z obu pasażerów.

Kapitan wiedział o nim tylko to, że nazywa się Martinez. To on zawarł umowę, na podstawie której kapitan miał dostarczyć ich obu z ich dziwnym bagażem na małą bezludną wysepkę i pozostawić na dobę, aby następnie znów tu zawinąć i zabrać z powrotem do Chile. Cała ta wyprawa wydawała się mocno podejrzana, ale żaden z kursów "gwiętej Joanny" nie był kryształowo czysty. "Pieniądze nie śmierdzą" - zwykł był mawiać jej kapitan, nie podejrzewając, że dewiza ta znana była już przed dwoma prawie tysiącami lat.

Martinez odliczył pieniądze i wręczył je kapitanowi.

- To połowa należnej panu sumy - powiedział - resztę dostanie pan jutro.

Kapitan skinął głową. Nie miał powodu do obaw. Z tej wyspy nikt nie ucieknie.

Było południe i z bezchmurnego nieba lał się po prostu na ziemię upał. Powietrze było zupełnie nieruchome i trudno było oddychać. Martinez i ten drugi, nazwiskiem Fretti, stali wszakże na plaży i wpatrywali się w ocean tak długo, jak długo jeszcze widać było na horyzoncie nikły dymek oddalającego się parowca. Wreszcie Fretti zbliżył się do jednej ze skrzyń.

- Już czas ! - rzekł. Otworzył niewielką klapkę i wsunął rękę, coś jak gdyby w środku skrzyni przekręcając. Martinez doszedł do drugiej skrzyni i zrobił to samo. Nie troszcząc się już o skrzynie oddalili się w kierunku namiotu i zajęli miejsca na leżakach.

- Uff, jak gorąco! - westchnął Fretti, ocierając pot z czoła.

- Napijmy się czegoś - zaproponował Martinez, sięgając po szklanki i butelkę.

- Można - zgodził się Fretti i spojrział na zegarek. - Za pięć minut powinno się zacząć.

- To będzie ciekawe widowisko.

Spojrzeli w kierunku plaży. Żółty piasek odcinał się powyginaną linią od wyraźnego szmaragdu wody, która nadchodzącą falą coraz to nacierała na plażę, aby po chwili znów ustąpić.

W jednostajnym szumie morza dał się jednak słyszeć wyraźny trzask. To grube deski jednej ze skrzyń pękły jak skorupa jajka. Ze skrzyni wysunął się najpierw jak gdyby ogromny stalowy łeb, a następnie wypełził z chrzęstem gąsienic kilkumetrowy metalowy potwór. Zamarł przez chwilę w bezruchu, ale po chwili ożywił się, zaczął w oczach rosnać. Poszczególne jego człony, pierwotnie ściśle przylegające do siebie, zaczęły rozciągać się jak harmonia. Łeb, początkowo duży, stał się teraz nieproporcjonalnie mały w stosunku do około dwudziestometrowej długości cielska. Jeszcze mniejsze, jak gdyby ukryte przed obserwatorem, były soczewki kamer telewizyjnych: dwóch skierowanych do przodu i jednej zwróconej do tyłu. Wydłużony dziób i ruchliwy giętki silny ogon nadawały potworowi wygląd mrówkojada, gdyby nie dwie potężne pary łap, umieszczone przed gąsienicami w przodzie kadłuba; patrząc na nie chciałoby się porównać machinę raczej z potwornej wielkości jaszczurem kopalnianym. - Dobrze pomyślane! - pochwalił Fretti. Martinez odparł

obojętnie:

- Gdybym go miał teraz projektować od nowa, zrobiłbym go zapewne zupełnie inaczej.

Tymczasem pękła z trzaskiem druga skrzynia, ukazując swoją przerażającą zawartość:

obrzydliwie wyglądającą konstrukcję, której gwiazdzista kopuła wyposażona w szereg dookolnie

skierowanych obiektywów umieszczona była pośrodku krótkiego pancernego kadłuba. Jak

karykaturalny owad, kadłub unosił się na kilkunastu łamanych stalowych łapach, zaopatrzonych w

szczypce, piły i różne zakończenia o nieokreślonym przeznaczeniu. Ustępując mrówkojadowi pod

względem długości, owad wyraźnie jednak górował nad nim wysokością: gdy teleskopy łap

rozprężyły się, kopuła wzniosła się o ponad dwa piętra nad plażę.

Ludzie patrzyli teraz na sztuczne monstra z wyraźnym zainteresowaniem.

- Na pańskim miejscu inaczej rozwiązałbym rozmieszczenie kamer. Z wysokości kopuły nie

mają one zbyt dobrego pola widzenia - rzekł Martinez.

- To się okaże - odparł Fretti.

Monstra spostrzegły się już i zaczęły się poruszać jak gdyby w egzotycznym tańcu.

Obchodziły się, zbliżały się do siebie i oddalały, najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż

poszczególne ruchy ich stalowych członów stały się nie do uchwycenia i tylko błyski słońca

odbijające się od metalu świadczyły o precyzyjnej współpracy ze sobą poszczególnych części tych

skomplikowanych mechanizmów. W pewnej chwili owad sprężył teleskopy łap, odbił się od ziemi

jak konik polny i znalazł się w pobliżu ogona jaszczura-mrówkojada. Dwie uzbrojone w szczypce

nogi owada wyciągnęły się w kierunku jaszczurczego ogona, który nagle zawirował w powietrzu z

ogromną siłą. Gdyby owad natychmiast się nie cofnął, straciłby swoje narzędzia. Uczynił to jednak, a

jaszczur-mrówkojad korzystając z tego odwrócił się z niesłychaną zwinnością łbem w kierunku

swojego przeciwnika. - Jak pan teraz ocenia pole widzenia kamer? - spytał Fretti. - Cofam to, co

powiedziałem. Ale umieścił pan chyba czujniki w odnóżach?

- Naturalnie. Pan też ich zapewne nie żałował, jak sądzę.

Można panu coś nalać? - zapytał Martineza.

- O, z przyjemnością. Jest diabelnie gorąco. Człowiek wypaca tu duszę. Całe szczęście, że dziś się już ta cała zabawa skończy. - Przynajmniej dla jednego z nas - zauważył Fretti.

Zwrócili znów uwagę na potwory. Owad cofając się i przyskakując usiłował uchwycić i zapewne unieruchomić ogon jaszczura, a w ten sposób zapewnić sobie bezpieczeństwo. Ponieważ nie udawało mu się to, w pewnej chwili zmienił taktykę i wyciągniętą łapę opuścił całą siłą na łeb przeciwnika. Jaszczur-mrówkojad znieruchomiał na chwilę, jak bokser zamroczony po otrzymanym ciosie; owad wykorzystując ten moment zmiażdżył obiektyw jednej z przednich kamer metalowych gada.

- Działa prawidłowo. Atakuje ośrodek dyspozycyjny - odezwał się Fretti.

- Niech pan się tym za bardzo nie cieszy. Jaszczur ma zapasową logikę rozmieszczoną w całym kadłubie i jest zdolny do działania nawet wtedy, gdy jego ośrodek dyspozycyjny zostanie kompletnie zniszczony.

- Ciekawe, jak pan to zrobił? - zapytał Fretti, wycierając chusteczką spoconą twarz.

- Przeszło połowa części, nie licząc kadłuba, zrobiona jest z wernetytu: specjalnego stopu mającego własności mechaniczne stali, a elektryczne - półprzewodnika. Właśnie dlatego pod względem odruchów, reakcji, umiejętności uczenia się i przystosowania dorównuje prymitywnemu żywemu zwierzęciu. - Ja zrobiłem to inaczej : zmieniłem lokalną mikrostrukturę siatki krystalicznej materiału. Ale wynik jest podobny. Niech pan popatrzy: najbardziej rozbudowany program nie mógłby dać podobnych efektów! Istotnie, to, co działo się na plaży, przypominało do złudzenia walkę zwierząt, ogarniętych determinacją, jaką wywołać może tylko śmiertelny strach. Owad, który stracił jedną parę swych nożyc i dwie inne łapy, wymachiwał zgruchotanymi kikutami, jak gdyby w bólu i przerażeniu. Nadal jednak skakał bez ustanku, atakując to łeb, to ogon jaszczura, który miotał

się wokoło, usiłując - pomimo uszkodzenia jednej ze swoich gaśienic dorównać owadowi w ruchliwości. Owad zatrzymał się w pewnej chwili na mgnienie oka, a w powietrzu, wypełnionym do tej pory jedynie grzechotem i łoskotem metalowych części, rozległ się huk kilkunastu szybko następujących po sobie detonacji. Uniesiony w górę ogon jaszczura w połowie swej długości załamał się i upadł z trzaskiem na ziemię. Owad skoczył tak, że jaszczur-mrówkojad znalazł się akurat pod nim, i trzy ze swoich łap opuścił na kadłub gada akurat u nasady ogona.

Dwie z łap, zakończone potężnymi wiertłami, pokonały opór metalowego pancerza i przedostając się na wylot przygwoździły jaszczura do ziemi, trzecia zaś - będąca, jak się okazało młotem - zaczęła kuć potężnie w pancerz.

- Niech pan się napije, Martinez, niewiele panu już zapewne życia pozostało - odezwał się Fretti.

- Walka jeszcze nie jest zakończona.

- Ale jej wynik jest już przesądzony. dal mi pana, szczerze mówiąc. Nie ma pan żadnych szans. W staroświeckim pojedynku na pistolety mógłby pan jeszcze liczyć na sztukę lekarza, a w najgorszym przypadku na współczucie sekundantów. Gdyby pan nawet zginął, śmierć znalazłaby pana w jednym momencie, odszedłby pan szybko i bez cierpień. Tu najpierw ogarnie pana przerażenie, zacznie pan w popłochu i bezsensownie uciekać, aż to cybernetyczne bydlę dosięgnie pana i zmiażdży.

Martinez, dotychczas spokojny, zadrżał.

- Pan... wiele się po panu spodziewałem, ale nie przypuszczałem, że jest pan aż takim cynikiem.

- To samo mogło spotkać mnie, drogi Martinezie - roześmiał się Fretti śmiechem człowieka, którego ogarnęło odprężenie po chwili niesłychanego napięcia - przecież mieliśmy równe szanse! Było jeszcze bardzo gorąco, ale słońce pochyliło się już wyraźnie w stronę horyzontu. Obaj

ludzie siedzieli w swoich leżakach, a nie opodal na plaży dwa cybernetyczne potwory sterczały jak symbol nowoczesnej sztuki. Początkowa ich ruchliwość zmieniła się w wysiłek statyczny, taki jaki charakteryzuje dwóch atletów, którzy złapawszy się wzajemnie w swe chwyty naprężają mięśnie dla złamania przeciwnika. Owad, unieruchomiwszy gada, kuł w dalszym ciągu niezmiernie rozkruszając jego pancerz; gad wygiął się, uniósłszy przednią część kadłuba na łapach, jak gdyby próbując uniknąć otrzymywanych ciosów. Udało mu się wreszcie odbić się niezgrabnie w górę, tak że uchwycił przednią parą łap za kadłub owada. Wyglądało to tak, jak gdyby uchwycił go w przedśmiertelnym skurczu, jak gdyby następny moment miał przynieść jego przeciwnikowi ostateczne już zwycięstwo. Ale rzeczywistość wyglądała inaczej. Jaszczur-mrówkojad wpił się w kadłub owada i zawisł na nim całym swym ogromnym ciężarem; ocalałe i nie zajęte zadawaniem ciosów nogi owada musiały teraz sprostać obciążeniu, które przekraczało wszelkie założone współczynniki bezpieczeństwa. Teleskopy owadzich łap zaczęły się niebezpiecznie poddawać. Wyglądało na to, że owad zdaje sobie sprawę z trudnej sytuacji i próbuje - za wszelką cenę - jak najszybciej zniszczyć przeciwnika. Znów rozległ się szereg szybko następujących po sobie detonacji i nagle ogon gada pękł u samej nasady. Ale jaszczur-mrówkojad nie potrzebował już wsparcia. Wczepiony w kadłub owada wszystkimi swoimi czterema potężnymi łapami, przysunął do kadłuba owada swój dziób, z którego nagle strzelił łuk elektryczny. Widać było wyraźnie, jak w pancerzu owada powstaje wypalona linia, jak zwija się w zamknięty czworobok...

Fretti, nagle pobladły, przysłonił oczy. Do ich odsłonięcia skłonił go nagły trzask. To jedna po drugiej pękały cztery łapy owada. Nie mogąc utrzymać już dłużej jaszczura-mrówkojada, runął na ziemię. Gad również nie był w stanie utrzymać równowagi i puścił na moment swą ofiarę. Owad, posługując się swoimi trzema pozostałymi nogami, próbował uciekać. Najwidoczniej chciał skakać, aby oddalić się od swojego prześladowcy, ale niezgrabne utykanie nie posuwało go prawie do przodu. Szczęściem jaszczur-mrówkojad nie był zdolny do szybkiego pościgu. Pozbawiony ogona, z

nieczynną gąsienicą, przebierał niezgrabnie łapami, z trudem pokonując przestrzeń dzielącą go od owada. Dopóki ta pogoń ciągnęła się wzdłuż plaży, odległość dzieląca oba potwory prawie się nie zmniejszała. Owad dotarł jednak do podnóża pagórka i po kilkakrotnych bezskutecznych usiłowaniach stwierdził, że napotkał przeszkodę, której nie jest już w stanie pokonać. Odwrócił się więc i zajął pozycję obronną. Teraz wszystko było już tylko kwestią minut. Jaszczur-mrówkojad doczołgał się do owada i, nie bacząc na rozpaczliwe ciosy jedynej łapy, której owad mógł użyć, wczepił się potwornie w jego kadłub. Na piasek padały krople topionego metalu. Konstrukcja owada przewróciła się bezwładnie na ziemię. Jaszczur pociął i rozdzielił jej części, rozrzucając je wokół - jakby chciał się upewnić, że groźny przeciwnik istotnie jest już unieszkodliwiony.

Potem uniósł łeb i rozejrzał się dokoła. Kiedy soczewka ocalałej kamery uchwyciła ludzi, jaszczur-mrówkojad wspiął się na łapy i począł niezgrabnie wdrapywać się na pagórek, zmierzając w

kierunku namiotu. Fretti zerwał się i z okrzykiem przerażenia pobiegł w głąb wysepki. Martinez siedział nadal ze szklanką w ręce i chichotał w głos. Oddalony już o dobre sto metrów Fretti stanął za

pnem i, ciężko dysząc, obserwował potwora. Ten nie zwracał uwagi na uciekiniera, ale kierował się wciąż ku niedalekiemu już celowi - człowiekowi, który spokojnie siedział na leżaku. Martinez trzymał wciąż szklankę w ręce, ale przestał się śmiać. Dlaczego ta bestia nie zbacza? Dlaczego nie goni Frettiego? Dlaczego jego, Martinez, widok nie wywołuje odruchu pokory i posłuszeństwa?

- Uciekaj, Martinez!

Fretti wychylił się spoza swojej palmy i krzyczał, wymachując rękami.

- Uciekaj, on cię nie rozpoznaje, on atakuje każdego! Martinez przewrócił leżak i pobiegł co sił. Jaszczur-mrówkojad poczołgał się za nim niezgrabnie. Martinez dobiegł do palmy, gdy Fretti zaczął się już na nią wdrapywać.

- Złaź, Fretti, to nie ma sensu! - wysapał. - Nie dosięgnie mnie tutaj!

- Podetnie palmę, a wtedy nie uciekniesz. Prędkiej na skałę, może nie zdoła się na nią wdrapać.

Fretti zeskoczył i obaj uciekli w kierunku skały, wznoszącej się stromo nad brzegiem morza.

Wdrapali się na nią w sam czas, aby uchronić się przed jaszczurem, który nieustannie posuwał się w ślad za nimi. Leżąc na krawędzi skały, z wysokości kilkunastu metrów obserwowali potwora, który warował u podnóża.

- Jesteśmy na razie bezpieczni - wyszeptał zmęczony Fretti. - Na razie, ale co dalej ?

- Chcesz mnie poświęcić dla uratowania własnego życia? - Obaj jesteśmy teraz w takiej samej sytuacji - rzekł Martinez.

- Tak, poluje na nas obu. Możemy sobie podać ręce. Pogodził nas... - zaklął Fretti. - No i co teraz zrobimy?

- Nic. Tu jesteśmy bezpieczni.

- No, to co z tego? Jak długo będziemy tak sterczeć na skale? Aż zdechniemy z głodu?

- Jutro przyplynie "Święta Joanna". Ale, do diabła, co z tego? zreflektował się Martinez. - Przecież ta bestia ani nam nie da uciec, ani im wylądować.

- Kapitan odpłynie natychmiast, jak tylko zobaczy, co się święci. Choćbyśmy potem unieszkodliwili drania, zostaniemy tu jak żywcem pogrzebani.

- Wniosek z tego, że musimy go zniszczyć bez zwłoki, i to jeszcze przed zapadnięciem zmroku. W nocy widzi lepiej od nas, będzie więc miał nad nami większą przewagę niż teraz.

- Co możemy zrobić? - zapytał Fretti.

- Jedyne, co wydaje mi się możliwe, to uszkodzenie części zasilającej.

Martinez półgłosem wyjaśniał szczegóły. Upłynęło jeszcze kilka minut. Nie można było dłużej zwlekać. Fretti wstał i przeszedł kilkadziesiąt kroków, ociągając się i spoglądając na jaszczura; w pewnej chwili jednak zdecydował się i ześliznął ze zbocza pagórka. Potwór zaskrzypiał

gąsienicą i ruszył niezgrabnie w pogoń za człowiekiem, odcinając mu drogę powrotu. Fretti skierował się w stronę plaży, a oddalwszy się od swojego prześladowcy o jakieś dwieście metrów zatrzymał się, aby nabrać tchu i zorientować się w sytuacji. Strach unieruchomił go na dłuższą chwilę i nie pozwolił ani na dalszą ucieczkę, ani na zebranie myśli. "Czyżby jednak chciał mnie poświęcić...? To drań, do wszystkiego zdolny! Ale to nie ma sensu, tym się nie uratuje. Schodzi! Schodzi z pagórka!"

Z uczuciem ulgi patrzył przez chwilę, jak Martinez począł skradać się w kierunku jaszczura; sam pobiegł następnie ku plaży, ku miejscu, w którym leżały szczątki owada. Gdy znów oddalił się na bezpieczną odległość - przystanął i popatrzył na gada. Martinez dogonił go już i po nieczynnej gąsienicy wspiął się na jego grzbiet.

Potwór dostrzegł już nowego człowieka i usiłował zawrócić, aby go pojmać, ale bezskutecznie. Martinez siedział na jaszczurze okrakiem jak na koniu i wspierając się rękoma przesuwał się w kierunku czeluści powstałej w miejscu umocowania ogona. Maszyna, pomagając sobie wszystkimi czterema łapami, próbowała bezowocnie zawrócić w miejscu. Człowiek znikł wreszcie we wnętrzu potwora. Fretti spojrział na zegarek. "Jeśli w ciągu pięciu minut nie wyjdę stamtąd - powiedział mu Martinez - ratuj się jak potrafisz".

Fretti nie bał się teraz, gad najwyraźniej nie zwracał już na niego uwagi, jakkolwiek ten drugi, bliższy człowiek znikł z pola widzenia kamery. Jaszczur kręcił się wciąż w kółko, jak zajęty tylko sobą szczeniak. Upłynęły trzy minuty... cztery minuty... "Już powinien wyjść... dochodzi piąta minuta... Co on tam robi?"

Gad nadal kręcił się w kółko.

Fretti chwycił metalowy drążek -jakąś smutną pozostałość po łapie owada. Zbliżył się ostrożnie do jaszczura.

Maszyna, wciąż pomagając sobie łapami, zataczała koło, nie zwracając uwagi na człowieka.

"Mógłbyś sobie spokojnie poczekać na »Świętą Joannę« nie narażając zbyt skóry. Choćby był twoim najlepszym przyjacielem, i tak już mu nie pomożesz. Po co tu leziesz?" myślał Fretti, a jednak wdrapał się śladem Martineza po nieczynnej gąsienicy na grzbiet potwora, a potem, wciąż trzymając drążek w ręku przesunął się w kierunku czeluści i z trudem opuścił się do wnętrza. Było ciemno, gorąco i duszno; pokryty potem, z trudem przeciskając się przez płątaninę różnych części, dotarł wreszcie do komory, gdzie w słabym oddalonym świetle dojrzał zarysy metalowych szaf. "To chyba centrum energetyczne" - pomyślał. Potknął się o coś miękkiego. Bardziej domyślił się, niż zobaczył ciało Martineza. Schylił się, aby go podnieść. Odrzucił zawadzający drążek. Ośleplł nagle od jaskrawego światła. Ogłuszył go przeraźliwy syk. Stojąc przez chwilę nieruchomo, zaszokowany nagłym strachem, myślał urywanymi zdaniami: "Łuk elektryczny! Zrobiłem zwarcie. Dlaczego nie izolowałem przewodów? Upiekę się tu żywcem..."

W panice, potykając się, ruszył ku wyjściu. Przed nim biegł jego ostry cień, zdeformowany w niekształtnym wnętrzu potwora. Syk nie ustawał. Fretti odwrócił głowę w kierunku jego źródła. Zmrużył oczy, oślepiiony błękitnym ogniem łuku. Wtedy w trupim blasku dostrzegł ciało Martineza. Uczynił krok w tym kierunku, potem dobiegł nagle i, ujmując swojego wroga pod pachy, zaczął go ciągnąć w kierunku wylotu. Wydawało mu się, że nigdy tam nie dojdzie. Dyszał głośno. Nie miał już sił myśleć. Wiedział tylko, że musi ciągnąć to ciało ku wyjściu. Za sobą miał ciągle syk i ostre światło łuku. Tak długo to trwało. Dopiero później, kiedy zwałił się wraz z Martinezem z gąsienicy na ziemię, uświadomił sobie, że wszystko to musiało się dziać w ciągu kilkudziesięciu sekund, najwyżej kilku minut. Potwór nie ruszał się już, ale z jego rozwalonego wnętrza wydostawały się silne błyski. Intuicyjnie wyczuwając niebezpieczeństwo, Fretti pokuśtykał dalej, wlokąc za sobą bezwładnego Martineza. Zapadł już zmrok - jak zawsze pod tą szerokością geograficzną - nagle i bez zmiernych. Fretti, wyczerpany do ostatka, zatrzymał się i uświadomił sobie ni stąd, ni zowąd, że morze ściemniało. A potem dostrzegł gwałtowny rozbłysk, usłyszał huk wybuchu i zaraz zapadł w

ciemność.

A jeszcze potem wyszedł księżyc. Oświetlił ciemnogrnatowe morze, fale załamujące się srebrną pianą o nieregularną linię plaży, rozrzucone szczątki potworów i dwa ciała nieprzytomnych ludzi.

ANDRZEJ CZECHOWSKI

PRAWDA O ELEKTRZE

Byliśmy za miastem i bawiliśmy się w Elektrów. Arne zaczął liczyć, kto z nas będzie

Elektrem, gdy nad nami rozległ się gwizd lądującej rakiety. Osiadła na ziemi kilkadziesiąt kroków od nas i chwilę kołysała się na długich, jak u pająka, łapach.

- Nie znam takiego typu - powiedział Arne. - To widocznie nowy model.

Ja powiedziałem: - Jeszcze nie widziałem takiej wielkiej rakiety.

Podeszliśmy trochę bliżej. Rakieta ugięła swoje łapy i dotknęła brzuchem ziemi. Była rzeczywiście dziwna. Na jej kadłubie wymalowano czarnym lakierem jakieś znaki.

- Dlaczego nikt nie wychodzi ? - zapytałem.

- Głupiś - rzekł Arne. - Najpierw rakieta musi ostygnąć. Ale bardzo szybko drzwi w brzuchu rakiety otworzyły się, wyskoczyła z nich długa, rozkładana drabinka i zszedł po niej !ktoś w hełmie i srebrnym skafandrze. Wyglądał zupełnie jak człowiek. Arne też tak uważał.

- Bardzo dziwnie wygląda, jak na Elektra.

Tymczasem pilot zdjął hełm i zobaczyliśmy, że jest rzeczywiście człowiekiem. Arne aż gwizdnął przez zęby ze zdziwienia. W tej chwili pilot nas zauważył i zaczął machać do nas ręką, żebyśmy podeszli do rakiety.

- Może lepiej zwiejemy? - zapytałem. Arne był innego zdania.

- Chodźmy - powiedział. - Zwiąć zawsze będziemy mogli. Pilot czekał na nas, siedząc na stopniach drabinki. Gdy się zbliżyliśmy, zapytał o nasze imiona.

- Ja jestem Roy - powiedziałem.

- Ja jestem Arne - powiedział Arne. - A ty jak się nazywasz ?

- Tom.

Pilot uśmiechnął się szeroko i zapytał:

- Co tu robicie, chłopaki ?

- Bawimy się w Elektrów - szybko odpowiedział Arne.

- Pierwszy raz słyszę - zdziwił się pilot. - Co to takiego "Elektry" ?

Arnego aż zatkało. Pilot przyglądał mu się przez chwilę, potem przestał się uśmiechać.

- Należy wam się wyjaśnienie, chłopaki - powiedział. - Ja przyleciałem z Ziemi, wcale nie chcę was nabrać. Naprawdę nie wiem, co to jest "Elektr".

- Kłamie - szepnął do mnie Arne. - Ziemia? Nie ma takiego miasta...

Pilot tymczasem zrobił taką minę, jak gdyby był jeszcze bardziej zdziwiony niż Arne.

Wyciągnął z kieszeni kombinezonu papierowy zwitek i błyszczące pudełko. Papier wziął do ust, pstryknął pudełeczkiem i to, co trzymał w ustach zapaliło się. Nie płonęło wcale tak, jak papier; ogieniek ledwie był widoczny, za to dymu było mnóstwo. Arne zakaszłał.

- No - rzekł zniecierpliwiony pilot - Ziemia. Planeta w Układzie Solarnym. Bez blagi, możesz mi wierzyć. Powieście mi teraz o tych "Elektrach" ?

- Aha - zrozumiał Arne. - Ty jesteś z innej planety. - Właśnie - rzekł pilot i zaciągnął się gryzącym dymem. Arne odsunął się o kilka kroków i trącił mnie łokciem.

- Niech mnie piorun - szepnął - jeżeli ja potrafię mu wytłumaczyć, co to są Elektrzy. To chyba jakiś wariat.

- Więc? - zapytał pilot.

Popatrzył teraz na mnie, dlatego odezwałem się:

- Są różne rodzaje Elektrów.

- Jakie?

- Policjanci - rzekłem. - Piloci, Myślotrony i Supermyślotrony, Tranzystowie i Lampowie.

- Aha. Roboty. Przestraszyłem się.

- Tak nie wolno mówić. To bardzo brzydkie słowo. Pilot uśmiechnął się niewyraźnie.

- Mniejsza o to. Więc bawiliście się w tych... Elektrów?

- Tak - wtrącił się Arne. - To fajna zabawa. Najpierw liczy się, kto ma zostać Elektrem, a potem może on dawać temu drugiemu różne rozkazy, bo rozumiesz, tamten jest człowiekiem. Na przykład ma wejść na wysokie drzewo albo złapać trawlika, albo zerwać światłorośl z jakiegoś klombu i nie dać się złapać dozorczy. Potem ten drugi jest Elektrem i może się zemścić.

- Chyba na odwrót? - zapytał pilot. - Ten, co jest Elektrem, musi słuchać człowieka?

Arne umilkł i trącił mnie łokciem.

- Nie - powiedziałem. - Właśnie tak, jak mówił Arne. Pilot patrzył na nas tak, że poczułem się nieswojo.

- Chyba nie chcecie mnie przekonać, chłopaki - powiedział wolno - że u was maszyny mogą wydawać ludziom rozkazy.

- Nie maszyny - zaprzeczyłem - tylko Elektry. - A co w takim razie robią ludzie?

- Różne rzeczy. Pracują w sklepach z magneterią albo w elektrowniach.

- Czemu Elektry tego nie robią?

- Boby się namagnesowali - wyjaśniłem. - Można wywiesić na drzwiach kartkę: "Uwaga, 1000 gaussów", i żaden Elektr nie wejdzie do środka.

- Gdzie jeszcze pracują ludzie? - zapytał pilot. - Są u was naukowcy? No tary faceci, którzy zajmują się fizyką, matematyką i tak dalej.

Spojrzeliliśmy z Arnem po sobie.

- Nie - powiedział Arne.

- Może nie ma wcale szkół na tej planecie? Umiecie czytać i pisać?

Arne obraził się.

- Pewnie, że są szkoły - odparł. - Ale teraz mamy wakacje. Pilot zgasił papierowy zwitek i wyjął drugi z kieszeni. Ręce mu się trzęsły, ale nie ze strachu, tylko ze złości. Pomyślałem sobie, że może lepiej by było uciec już teraz, ale nie chciałem tego powiedzieć Arnemu, żeby nie pomyślał, że

się boję. Pilot wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po trawie.

- Kto rządzi waszą planetą?

- Prezydent - powiedział Arne.

- Mam nadzieję, że jest to człowiek? Arne wytrzeszczył oczy.

- Więc kto jest prezydentem, do diabła?

- Supernadmyślotron - rzekł Arne niepewnie.

Pilot był solidnie rozzłoszczony, ale nic nie powiedział, tylko zaczął chodzić coraz szybciej tam i z powrotem. Po jakimś czasie uspokoił się i usiadł ciężko na drabince.

- Słuchajcie, chłopaki - rzekł. - Albo ja zwariowałem, albo na waszej planecie dzieje się coś niedobrego. Zawsze uważałem to za niezły skandal, że statki z Ziemi odwiedzają gwiazdne kolonie nie częściej niż co dwieście lat, ale nawet mnie nie przyszłoby do głowy, że przez ten czas może dojść do... buntu maszyn, bo coś takiego u was musiało się zdarzyć. Dlaczego ludzie słuchają rozkazów tych Elektrów?

Arne ubiegł mnie znowu:

- Bo oni są mądrzejsi.

Pilot zaklął tak okropnie, że ani ja, ani Arne nie potrafiliśmy zapamiętać tego, co powiedział.

Miałem taką ochotę zwać, jak nigdy przedtem.

- Dobra - opamiętał się pilot. - Nie powinienem się na was złościć. Ale zrozumcie przynajmniej, że mówiliście bzdury. Elektry to maszyny, które wprawdzie umieją szybko liczyć, ale na pewno, do stu tysięcy parseków sześciennych próżni, nie ma i nie będzie maszyny mądrzejszej od człowieka. Zresztą to ludzie je zbudowali, a nie odwrotnie.

- Właśnie że odwrotnie - uparł się Arne.

Pilot miał zamiar zakląć, ale się opanował i nawet uśmiechnął się do Arnego.

- Gdybyśmy mieli trochę czasu, sam potrafiłbym zrobić takiego myślącego diabła.

- Nieprawda - powiedział Ame. - Żaden człowiek nie potrafi. Mój wujek próbował zrobić tranzystor i nic mu z tego nie wyszło. A Elektry są bardzo mądrzy. Sam znałem policjanta, który potrafił pomnożyć w pamięci dwadzieścia cztery tysiące pięćset osiemdziesiąt dwa przez piętnaście tysięcy sto cztery i wychodziło mu zawsze trzysta siedemdziesiąt jeden milionów dwieście osiemdziesiąt sześć tysięcy dwadzieścia osiem.

Pilot milczał jakiś czas. Za to Arne odezwał się znowu:

- Albo mój kuzyn Al. On znalazł zardzewiały kadłub Elektra na jakimś śmietniku.

- Tak? - zainteresował się pilot.

- Naprawił go i włożył na siebie - powiedział Arne ze smakiem. Opowiadał o tym chyba tysięczny raz i zawsze tak samo. - Potem poszedł do Klubu Elektrycznych Policjantów, tam gdzie są takie śmieszne stoliki w kratkę i na nich gra się w szachy. Jeden Elektr zaczął grać z Alem w te szachy. Al opowiadał, że _Elektr od razu poznał, że A1 jest człowiekiem, bo A1 robił ciągle głupstwa i stracił dwa konie przez nieuwagę. Ale nie powiedział nic i zaprosił go do baru na trzysta woltów w impulsie prostokątnym. A1 wetknął swoją wtyczkę w gniazdko i tak go kopnęło, że miał dosyć.

Pilot zagryzł usta.

- Więc - powiedział - jest wam diabelnie dobrze na tej planecie. Pewnie wcale nie chcielibyście, żeby było inaczej, prawda? Roy, chcesz mieć robota, który by musiał robić, co mu każesz ?

Pomyślałem trochę i zaczęło mi się to nawet wydawać niezwykle przyjemne.

Powiedziałem, że chcę. Pilot rozjaśnił się trochę.

- A ty, Arne?

- Czy on chodziłby zamiast mnie do szkoły? - chciał się upewnić Arne.

Pilot znowu zmarszczył czoło.

- Nie.

Arne był zawiedziony, jednak powiedział, że chciałby. - Ale u nas nie wolno mieć robotów.

Zamilkliśmy. Pilot zaciągnął się błękitnym dymem, jak gdyby była to największa

przyjemność na świecie. Arne nie mógł na to patrzeć. Podszedł do jednej z nóg rakiety i zaczął ją oglądać bardzo dokładnie. Po chwili pilot zapytał:

- Chyba nie wszyscy ludzie słuchają grzecznie tych Elektrów? Tylko nie bujajcie, mówiliście przecież, że istnieje policja.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, i oczywiście znowu Arne zdążył się wtrącić, chociaż był o kilka kroków dalej

- Mój stryj, Leo, był kamerdynerem u jednego elektromózgu, przy ulicy Duodiody. To był stary Lamp, bez żadnego tranzystora. Stryj Leo opowiadał mi o nim mnóstwo śmiesznych rzeczy. Ten Lamp okropnie bał się piorunów i podczas burzy nie pozwalał uziemiać sobie chassis, żeby piorun go nie przepalił.

- Ciekawe - rzekł pilot. - I co dalej ?

- Pewnego razu stryj był bardzo zły na tego Lampa - rzekł Arne - i na złość nie odłączył mu uziemienia. Akurat wtedy uderzył piorun i staremu popękały wszystkie ekrany. Stryj musiał za to przez rok kręcić dynamo.

- Bez przerwy?

- No, nie - powiedział Arne. - Sędzia skazał stryja na mnóstwo kilowatogodzin i stryj musiał tyle wykręcić na tym dynamku. Chodził kręcić codziennie wieczorami.

- Aha - mruknął pilot.

Arne usiadł na trawie naprzeciw niego i przechylił głowę do tyłu, żeby zobaczyć czubek rakiety. Ja miałem po uszy opowiadań Arnego, więc skorzystałem z okazji i zapytałem pilota:

- Ty sam przyleciałeś z Ziemi ?

- Niezupełnie - powiedział pilot. - Na orbicie jest statek, nazywa się "Norbert Wiener" i ma trzysta czternaście metrów długości, licząc od dzioba do nasady zwierciadła. To, co widzisz, jest tylko rakieta zwiadowczą. W górze zostało dwunastu ludzi i dziesięć robotów. Dowodzi tym wszystkim komandor Lagotte, i niech mnie trafi sto kilogramów antymaterii, jeżeli nie jest on człowiekiem z krwi i kości.

- I roboty muszą słuchać ludzi?

- Jeszcze jak. Chodzą jak w zegarku.

- Czy Ziemia jest bardzo daleko stąd? - zapytał Arne.

- Światło leci od Słońca do waszej planety przez dwadzieścia trzy lata. My lecieliśmy dwadzieścia pięć.

- O, rany! - rzekł Arne, ale miał taką minę, jak gdyby wcale nie wierzył pilotowi.

- Łże - szepnął do mnie. - On sam ma najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Tymczasem pilot spojrział na zegarek, zupełnie zwyczajny, i powiedział, że musi teraz wejść do rakiety.

- Jeżeli chcecie zobaczyć, jak jest w środku, to chodźcie powiedział. - Tylko ostrożnie, bez kawałów.

Weszliśmy na górę po drabince. Bałem się trochę, ale Arne wszedł do środka, więc nie mogłem być gorszy od niego. Wewnątrz był pionowy szyb, w którym można było wspinać się po klamrach, a w jego ścianach otwierały się drzwiczki do kabin. Na samym dole gruba płyta zamykała przejście. Pilot powiedział, że za nią jest silnik i reaktor. Potem pilot zostawił nas samych i poszedł do jednej z kabin na górze. Gdy znikł w kabinie, Arne powiedział, żebym był cicho, i zaczął wdrapywać się do tej kabiny. Potem zajrzał przez otwarte drzwi i szybko zjechał na dół.

- Roy - powiedział cicho. - Ten pilot kłamie.

- No?

- Kłamie jak nie wiem co. Nie jest z żadnej Ziemi. To, co mówił o Elektrach, to błaga. Jak nie wierzysz, zajrzyj sam do środka.

Zbladłem chyba, ale zrobiłem tak, jak mówił Arne.

Rzeczywiście: pilot siedział w dużym fotelu, przed tablicą wielkiego Elektra, jakiegoś supermyślotronu, warczącego i błyskającego ekranami. Miał na tablicy napis "Radiostacja", pewnie tak się nazywał. Nie widziałem jeszcze Elektra, który by wyglądał bardziej groźnie. Mówił coś ostro do pilota, a on odpowiadał ciągle: "Tak jest, panie komandorze", i nie było żadnych wątpliwości, kto z nich słucha czyich rozkazów. Wróciłem zaraz na dół, gdzie czekał Arne.

- A ja mu tyle naopowiadałem - powiedział Arne. Wiejemy?

- Najszybciej jak można.

Zsunęliśmy się po drabinie i byliśmy bardzo szczęśliwi, że udało się nam uciec.

przekład :

WITOLD ZEGALSKI

STAN ZAGROŻENIA

- No, to dasz sobie radę - Arat wyciągnął do Tedda rękę na pożegnanie. - Za kilka miesięcy przyślemy zmianę, musisz tu jakoś wytrzymać.

Tedd odwzajemnił uścisk i uśmiechnął się kwaśno.

- Rozumiem - powiedział Arat - ale nie możemy dać tobie nikogo do towarzystwa. Wiesz, jak u nas wygląda: wszyscy mają roboty po łokcie. To mały obiekt, wprawdzie przestarzały, ale kontrola techniczna nie wykazała specjalnych usterek, więc nie będziesz mieć większych kłopotów. Zanim przestawimy go na pełną automatykę, jeden człowiek wystarczy. No, trzymaj się, stary !

Skinął ręką i powoli ruszył w stronę śmigłowca. Tedd patrzył, jak kołysząc się wchodzi po schodkach, zamyka drzwi, siada obok pilota...

Arat wyjrzał jeszcze z kabiny.

- A popatrz dokładnie, może znajdziesz jakiś ślad Maksa! krzyknął.

Głos utonął w szumie motoru. Śmigłowiec drgnął, powoli oderwał się od betonowej płyty i okrążywszy stacyjne lotnisko pomknął na zachód.

Tedd patrzył za nim, dopóki maszyna nie zniknęła na tle oceanu. Gdy ucichł huk motoru, znowu usłyszał monotony łoskot fal łamiących się na betonowych ochronach. Z płaskiego dachu widać było tylko bezkresne morze, zlewające się z dalekim horyzontem. Z niechęcią pomyślał, że musi przeżyć kilka miesięcy w tej odległej stacji, w budynku będącym zwieńczeniem porowatego jak plaster, olbrzymiego obelisku sięgającego dwieście metrów w głąb Pacyfiku. Nad powierzchnię wystawała tylko stacja mieszcząca hale produkcyjne, magazyn, obszerną część mieszkalną, tworząc sztuczną wysepkę oznaczoną jedynie na dokładniejszych mapach czerwonym punktem.

Poniżej lustra wody wyłącznie ryby zamieszkiwały liczne korytarze i jaskinie budowli. Setki gatunków rozlokowały się na różnych poziomach, skąd według harmonogramu wsysały je przewody

transporterów, dostarczając do hal przetwórczych. Budowla była stara, nie remontowana od kilkadziesiąt lat i posiadała szereg kondygnacji od dawna unieruchomionych. Nie martwiono się tym zbyt, oczekując z roku na rok decyzji w sprawie zamknięcia stacji lub jej generalnego unowocześnienia. To drugie nie było zbyt prawdopodobne od chwili przestawienia gospodarki morskiej na uprawę planktonu i roślin powierzchniowych, wydajniejszą i mniej pracochłonną.

- Ze też mnie to spotkało! - powiedział Tedd ze złością. Chyba dość nasiedziałem się w tych parszywych, samotnych placówkach! Mogliby wreszcie dać mi spokój.

Często mówił do siebie. Był to dobry sposób utrzymania psychicznej równowagi w miejscach odciętych od ludzi i świata, praktykowany zarówno wśród ichtiologów, jak i załóg małych stacji kosmicznych. Można co prawda rozmawiać z automatami, składać telewizyty znajomym lub dyskutować na dowolne tematy z Centrum Informacyjno-Rozrywkowym, lecz są to formy zastępcze, nie zawsze skuteczne. Automaty bywają dobrymi partnerami, pod warunkiem, że ich pamięć jest dostatecznie pojemna, zawiera właściwe testy i połączenia.

Mózg elektronowy średniej wielkości wykazuje genialność w pewnym zakresie problemów, przy równoczesnej tępcie występującej niespodziewanie w momencie poruszania spraw, zdawałoby się, prostych.

Rozmowy z Centrum straciły na popularności, odkąd stało się wiadome, że partner lub partnerka z przestrzennego ekranu to tylko złudzenie, jeden z miliardów obrazów utrwalonych w studio. Natomiast telewizyty już po krótkim czasie przyprawiały o rozdrażnienie i stany depresyjne, pogłębiając poczucie odizolowania od problemów wielkich ludzkich skupisk. Pozostawało głośne wyrażanie myśli, słyszenie głosu bliskiego, żywego człowieka, chociażby samego siebie.

Tedd skierował się ku wyjściu. Zszedł na pierwszy poziom i minawszy część mieszkalną, pchnął drzwi do hal produkcyjnych.

Maszyny pracowały cicho: pod przezroczystymi osłonami przebiegały bez szmeru wszystkie

fazy procesu przetwarzania ryb, dozoruujące automaty stały znieruchomiałe na stanowiskach nie mając powodu do interwencji, na tablicach zapalały się i gasły światła kontrolne.

Podszedł do pulpitu kierowniczego. W centralnej części usianej zegarami i ekranami płyty jarzył się schemat budowli. Przyglądał się mu przez chwilę. Dolne poziomy były ciemnymi plamami obejmującymi dużą część rysunku.

Usiadł i wcisnął przełącznik. Zgłosił się mózg elektronowy kierujący pracą stacji.

- Od kiedy dolne poziomy nie są czynne? - rzucił pytanie. - W jakiej kolejności mam panu podać informacje? - zapytał mózg.

- Od ostatniego wyłączenia poziomu, wstecz.

- Proszę bardzo. Ostatnia awaria miała miejsce na poziomie sto trzecim w dniu osiemnastego czerwca dwa tysiące dwieście piątego roku o godzinie dziewiętej zero osiem. Poprzednio awaria dotknęła poziomu sto dziesiątego, sekcje A, B, C, D w dniu... 63

Słuchał cierpliwie przez kilka minut. Stara budowla powoli obumierała: pękały stropy i ściany, nieruchomiały szyby transportowe, rwały się instalacje elektryczne. Proces ten należało zahamować, jeżeli stacja miała utrzymać się w stanie opłacalnym do eksploatacji.

- Dziękuję - powiedział - więcej nie trzeba. A teraz zapamiętaj : nazywam się Tedd.

- Tak jest, panie Tedd.

- Jeżeli Maks zlecił tobie jakieś czynności dotyczące jego trybu życia w stacji, no wiesz, jakieś poranne budzenie, przypominanie o konieczności golenia się, czy ja wiem zresztą co - to od dzisiaj ich nie stosuj.

- Tak jest, panie Tedd - czy mam je zachować w pamięci?

- Tak.

Namyślał się przez chwilę.

- Jak się nazywasz? - rzucił pytanie do mikrofonu.

- Ja jestem Ewa - odparł mózg.

Tedd uśmiechnął się. Każdy mówiący automat posiadał imię był to zwyczaj stary, pamiętający jeszcze wyprodukowanie pierwszych robotów. Imiona można było zmieniać w zależności od gustu pracującego z maszyną człowieka, można było zmieniać barwę głosu... Zmiany takie zdarzały się jednak rzadko. Nie miał zamiaru odstąpić od tej reguły.

- Słuchaj, Ewo - powiedział. - Gdzie jest Maks?

- Nie wiem, panie Tedd, nigdzie go nie widzę.

- A gdzie był ostatnio?

- Siedział przy pulpicie kierowniczym. Tedd odruchowo spojrział dookoła.

- Tak jak ja?

- Tak, panie Tedd.

- A potem?

- Nie wiem, panie Tedd.

- Dlaczego nie wiesz?

- Wyłączył mnie. Potem go szukałam, bo znalazł się w niebezpieczeństwie.

Tedd przycisnął biały guzik i zamyślił się. Zaginięcie Makska zaskoczyło wszystkich.

Przeszukano stację, hale, a nawet kilka podwodnych poziomów, chociaż wszystkie skafandry i motorówki zastano na swoich miejscach. Płowowłosa Norweg zniknął. Pozostał tylko ślad.

Centralny mózg stacji zanotował czterogodzinny stan zagrożenia ludzkiego życia, któremu starał się zapobiec.

Po upływie tego czasu bezpiecznik regulujący obronę wrócił do normalnego położenia. Z analizy zapisów wynikało, że stan ten miał miejsce w wodzie. Przypuszczano, że Maks nieopatrznie wszedł na któryś z falochronów i spadł do morza, ulegając bliżej nie określonej kontuzji. W okolicy stacji rekiny nie należały do rzadkości.

Gdy wstał, był już późny ranek. Słońce znajdowało się wysoko, o czym świadczył ciemny kolor okiennych tafli utrzymujących stałą siłę światła wewnątrz mieszkalnych pomieszczeń. Wyszedł na korytarz i przez chwilę zastanawiał się, czy wejść do pokoju, który nie tak dawno jeszcze zajmował Maks. Pchnął drzwi. Pokój był przestronny, nie różniący się od innych mieszkań tego typu. Przeszklona ściana pozwalała obserwować morze i niewielki basen portowy okolony tarasem. Wyposażenie nie nosiło żadnych cech indywidualnych - stereotypowe meble, wymienne obrazy, duży ekran telewizyjny. Wszystko było tutaj porządnie ułożone, czekało jakby na powrót właściciela. Maks znany był jako pedant. Jego robot-służący otrzymywał chyba najdokładniejszy program czynności, jaki można było spotkać w całym rejonie Pacyfiku. Dnia poprzedniego do pokoju zajrzała komisja. Jednak przegląd szaf, biurka i znalezionych notatek nie wyjaśniał niczego. Rzeczy pozostawiono na miejscu nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić. Maks był człowiekiem z retorty, urodził się w instytucie i naturalnej rodziny nie miał.

Tedd przycisnął gałkę w ścianie. Kremowe tafle rozsunęły się ukazując wnętrze szafy.

Wisiało tu kilka ubrań, leżały koszule, przybory toaletowe...

Wśród drobiazgów spostrzegł ramkę fotografii. Wziął ją do ręki. Przyciśnięcie włącznika wywołało na matowej powierzchni uśmiechniętą twarz dziewczyny o niebieskich oczach. Przyglądał się jej długo, myśląc, jak przyjęła tragiczną wiadomość. Drugie naciśnięcie nie przyniosło nowego obrazu, to była jedyna fotografia, jaką miał Maks. Odłożył ramkę i podszedł do okna. Ocean toczył fale ku murom stacji, bryzgał pianą, bez pośpiechu, ziarno po ziarnie wymywał piasek z betonowych ścian. Prześwietlony błękit nieba i ciemniejszy morza stykały się na horyzoncie. Wydawało mu się, że zrozumiał, dlaczego dziewczyna z fotografii miała niebieskie oczy. Maks chyba często stał przy tym oknie.

Na biurku, pod ekranem, leżał plik papierów i teczek. Przejrzał je pobieżnie. Wykresy produkcji, wydajność maszyn, długie skrawki obliczeń mózgu elektronowego dotyczyły remontu

nieczynnych kondygnacji. Było tego sporo - Maks nie próżnował. Pomyślał, że i on będzie musiał się tym zająć, aby wypełnić kilkadziesiąt dni pobytu na stacji.

W podręcznej bibliotece przejrzał tytuły mikrofilmów. Znalazł wiele pozycji dotyczących astronautyki, reportaże z lotów kosmicznych, powieści i poezje z tego zakresu. Maks starał się kiedyś o przyjęcie do szkoły pilotów raketowych, lecz z powodu drobnej wady serca kandydaturę jego odrzucono. Pozostały zainteresowania, wycieczki turystyczne do miast księżycowych. Zresztą Maks był dobrym ichtiologiem i znał dokładnie zawód, który dał mu rekompensatę za niedostępne stery w kabinie astronawigatora.

- No tak - powiedział Tedd, zawiedziony przeglądem, po którym zresztą niewiele się spodziewał - należy zająć się czymś konkretnym.

Przez chwilę wahał się patrząc na notatki. Zabrał je jednak. Część hal produkcyjnych nie była czynna, podniesione osłony ukazały znieruchomiałe taśmy transporterów, tryby i łożyska. Roboty dokonywały napraw w myśl instrukcji komisji kontrolnej, wymieniały zużyte części i smary.

Podszedł do jednego z urządzeń, przy którym wymieniano wał prowadzący. Robot zdejmował właśnie olbrzymią stalową część z uchwytów dźwigu.

Tedd pochylił się nad rozmontowanym wnętrzem maszyny. Bezpiecznik automatu wstrzymał opuszczające się ramię z wielotonowym ciężarem. Robot czekał, aż Tedd dokona oględzin i cofnie głowę.

Była to krajarka. Rzędy noży rozmaitego typu i wielkości ciągnęły się sekcjami na przestrzeni kilku metrów. Jedne patroszyły surowiec, inne oddzielały łby i ogony. Odpady wpadały do wnętrza kanału, którym tłoczono je do poziomów podwodnych, zamieszkałych przez drapieżne gatunki ryb. Tedd przyglądał się urządzeniu. Jak wszystko w stacji, również i ta maszyna daleka była od wymogów współczesnej techniki. Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Robot powrócił do pracy.

- Uruchamianie poziomów nie ma sensu - mruczał Tedd. Przecież to wielka graciarnia. Powinni

zrobić muzeum, postawić automat dla oprowadzania wycieczek, a nie trzymać człowieka.

Z niechęcią usiadł za pulpitem kierowniczym i zaczął przeglądać dokumentację. Z początku sądził, że nieprędko rozezna się w materiale opracowanym przez innego człowieka, jednak po chwili uprzedzenie ustąpiło. Chaos w papierach był pozorny: tworzyły zwartą całość, uporządkowaną systematycznie i ułatwiającą szybkie zorientowanie się nawet w bardziej skomplikowanych przypadkach. Maks przede wszystkim nie chciał dopuścić do dalszych awarii. Przez długi okres czasu przeprowadzał remonty zabezpieczające czynnych jeszcze pięter, walczył o niechętnie przydzielane materiały i aparaturę. Wysyłane pod wodę automaty wymieniały zużyte segmenty kanałów, łątały dziury, uzupełniały skomplikowaną sieć przewodów elektrycznych. Sytuacja została opanowana i z tej strony nie należało oczekiwać niespodzianek. Zaprogramowany dla centralnego mózgu stacji plan przeglądów technicznych zapewniał stałą konserwację tych urządzeń. Na wszystkich czynnych poziomach działały gniazda kamer telewizyjnych, zainstalowane w węzłowych punktach.

Tedd włączył wizję czwartej kondygnacji. Z ekranu wyłoniły się mgliste kontury, które przybierając na ostrości ukazały wyraźnie wnętrze podwodnej sali, podziurawionej prześwitami i wylotami korytarzy. Była to raczej pieczara. Wymyte pracą morza ściany, pełne wnęk i szczelin, zatraciły surowy charakter budowli. Wśród falujących kolonii wodorostów żerowały stada ryb. W suficie pieczary dostrzegł gładki, lejowaty otwór szybu i skrzynię megafonu. Dobrane w odpowiedni dla danego gatunku test dźwięki zwabiały do sali ryby, skąd zostawały one wessane potężnym prądem wodnym przez kanał wiodący do hal produkcyjnych.

Teraz było tu spokojnie. Eksploatacja miała się rozpocząć za kilka miesięcy.

Wygasił ekran. Następna teczka zawierała obliczenia i plany dotyczące uruchomienia pierwszego z nieczynnych poziomów. Wziął ją i poszedł do swojego pokoju.

Następny dzień spędził na studiowaniu zawartości teczki. Gdy zmęczony odsunął od siebie

papiery, była już noc. Szczegółowy przegląd przyniósł jednak zupełnie nieoczekiwany rezultat:

poziom 103 był wyremontowany i gotowy do eksploatacji. Nawet testy przekazał już Maks mózgowi centralnemu stacji. W teczce znalazł ich odpisy - trzy perforowane plastikowe tabliczki zawierające całą technologię czterogodzinnego procesu produkcji.

Spojrzał na fotografię. Przyniósł ją jeszcze w południe z tamtego pustego pokoju.

Trójwymiarowa twarz dziewczyny uśmiechnęła się 2 metalowej ramki.

Przyszło mu na myśl, że przyjemnie byłoby z nią porozmawiać, złożyć telewizytę, może nawiązać znajomość. Nie znał jednak ani jej nazwiska, ani numeru, a ustalenie tych danych zajęłoby sporo czasu.

Na samotnych placówkach pracownicy często rozmawiają z mózgami elektronowymi.

Często, znacznie częściej, aniżeli uwidoczniają to statystyki Instytutu, zwierzają się im ze spraw jak najbardziej intymnych, które wymazują z kryształów pamięci w chwili odjazdu. Można było spróbować. Schował fotografię do kieszeni i wyszedł.

Hala produkcyjna była już uporządkowana, roboty stały na stanowiskach przy osłonach maszyn. Usiadł za pulpitem i wywołał centralny mózg elektronowy. Na tablicy rozjarzyło się zielonkawe oko ekranu.

- Słuchaj, Ewo - powiedział wyjmując fotografię. - Czy wiesz, kim jest ta dziewczyna?

- To jestem ja, Ewa.

- A niech to! - mruknął Tedd. - Więc to ty jesteś Ewa? Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz?

- Nazywam się Jackson, a mieszkam tutaj.

- Gdzie? - zdziwił się. - W stacji?

- Tak, panie Tedd.

Po chwili opanował się. W stacji prócz niego nikt nie mieszkał. To było jakieś dziwactwo

Maksa. Należało inaczej pytać.

- A przedtem gdzie mieszkałaś?

- W Amsterdamie. Potem kiedy zasypała mnie lawina śnieżna, mieszkałam w Alpach, w alejce obok kanadyjskiej sosny. Teraz mieszkam tutaj, a tam jestem.

Patrzył na fotografię, na uśmiechającą się wciąż twarz dziewczyny.

- Więc ty nie żyjesz, Ewo?

- Maks mówił tak do mnie, gdy był w złym nastroju, panie Tedd, mówił, że nie powinnam była iść na tę ścianę, ale potem mnie przeproszał. Ja żyję, tu mieszka mój głos i tu można mnie widzieć na ekranie.

Zamyślił się. Teraz dopiero zrozumiał Maksa, jego wypełnione pracą życie w stacji, której od lat nie opuszczał. Nie chciał oglądać dziewczyny na ekranie ani tym bardziej kontynuować tej rozmowy. Czuł, że okradałby w ten sposób Maksa z jego myśli nie przeznaczonych dla nikogo.

- Słuchaj, Ewo, nie powiedziałaś mi, że poziom 103 został całkowicie wyremontowany.

- Nie pytał pan o to, panie Tedd.

- Podałaś, że nie jest czynny. Czemu?

- Nie jest podłączony do centrali rozrządowej. Nie mogę go sama eksploatować.

Wystarczyło więc nacisnąć odpowiedni włącznik, aby uruchomić produkcję. Tej ostatniej, najprostszej czynności Maks nie zdążył wykonać. "Jutro dokonam stałego podłączenia" - postanowił Tedd. Nie miał ochoty w tym momencie schodzić do pomieszczeń rozrządu, by przez kilkadziesiąt minut babrać się wśród lamp i kabli. Poszukał na pulpicie przycisku oznaczonego numerem 103. Przez chwilę czuł pod poduszczką palca jego gładką, chłodną powierzchnię. Nacisnął. Na tablicach zapalały się sygnały kontrolne, drgnęły wskazówki zegarów i liczników, rozjarzył się ekran. Z ledwo słyszalnym szmerem rozpoczęły pracę maszyny. Pod dźwiękochłonnymi pokrywami ruszyły puste jeszcze taśmy transporterów, wirowały noże, podajniki...

Spojrzał na ekran. W olbrzymiej sali poziomu 103 zaczynały gromadzić się ryby. Łuskowate ciała o tępych pyskach, zakończonych długimi antenami wąsów, nadpływały z czeluści korytarzy. W podmorskich kazamatach tłoczyły się ryby. Było ich coraz więcej, kręciły się coraz bardziej niespokojne i pompy ssące powinny były już podjąć pracę. Proces opóźniał się. Zaniepokoiła go ta przerwa. Wreszcie dostrzegł, że prąd wody wciąga do leja pierwsze sztuki. Trwało to krótko, po czym praca ustała.

Zdziwił się. Znowu w leju zniknęło kilka ryb, lecz po chwili wypłynęły z powrotem. Pochylił się nad ekranem pilnie śledząc pracę kanału ssącego. Zastanowiło go także zachowanie się ryb. Zamiast skupiać się w pobliżu leja, utworzyły zwartą gromadę przy leżącym pod ścianą głazie. Pierwszy raz w życiu obserwował podobne zjawisko i szukał dla niego uzasadnienia. Może jakieś odbicie akustyczne? Szyb ssący nadal pracował z przerwami. Spojrzał na zegary kontrolne i stwierdził, że pompy pracują prawidłowo.

Nagle poczuł oplatające go stalowe ramiona. Odwrócił głowę. Za nim stał jeden z robotów. Zdumienie odebrało Teddowi możliwość jakiegokolwiek reakcji. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, aby automat tego typu chociażby dotknął człowieka. Bezpiecznik, w który zaopatrywano każdego robota, uniemożliwiał zupełnie podobny ruch.

Dopiero zaciskający się powoli uchwyt metalowych członów, odciągających go równocześnie od pulpitu, uświadomił mu całkowitą realność sytuacji.

- Puść mnie natychmiast - powiedział Tedd.

Robot zawahał się, stalowe palce rozluźniły nieco chwyt.

- Masz mnie puścić, ty bydlaku !

Automat nie reagował. Tedda opanował niezrozumiały lęk. Rozejrzał się po sali. Roboty bez jakiegokolwiek powodu opuściły stanowiska i poruszały się chodnikami wzdłuż maszyn. Ich powolne człapanie, nagłe postoje, widoczny brak celu marszu, wszystko to przypominało jak gdyby

poszukiwania. Pracowały także wszystkie kanały utrzymujące czystość hal produkcyjnych. Teddowi przemknęła myśl, że zdrzemnął się i jest to jakiś makabryczny sen.

Robot znowu pociągnął go lekko.

- Stój ! - wrzasnął Tedd. - Stój i puść mnie ! Słyszysz! Robot znowu się zawahał. Tedd spojrzął na pulpit kierowniczy. Błyszczał tam przycisk wyłącznika awaryjnego blokujący wszystkie urządzenia stacji wraz z reaktorem atomowym. Gorączkowo próbował oswobodzić ramiona z wiążącego uścisku, wyciągnąć rękę... Przycisk nie był daleko. Nie udało się. Poczł, że robot go ciągnie, powoli, z przerwami, kiedy krzyczał, ale potem znowu. Centymetr po centymetrze oddalał się pulpit pełen zegarów, wyłączników, z jarzącym się ekranem, na którym widać było coraz to więcej ryb. Starał się przewyciężyć paraliżujący go strach, lęk przed nieokreślonym niebezpieczeństwem, które wyczuwał. Usiłował uporządkować myśli, zebrać je razem. Z trudem opanował się. Przede wszystkim trzeba było zatrzymać robota, który na rozkaz "Stój !" reagował przez krótką chwilę. Zauważył, że również i inne krążące wśród maszyn automaty w tym momencie przestawały się poruszać. Mówił więc stale do robota, w krótkich przerwach wzywając mózg centralny stacji do zablokowania wszystkich urządzeń. Jednak Ewa milczała, czasem tylko z głośnika wydobywał się jakiś niezrozumiały bełkot.

Powtarzał głośno: "Stój !", "Stój !", "Stój!" - rozważając równocześnie rozmaite hipotezy mogące wyjaśnić to, co się dookoła działo. Narzucająca się gwałtownie myśl o buncie robotów była bzdurna. Więc może Maks nadał Ewie jakiś samobójczy test? Lecz automat takiego rozkazu nie mógłby wykonać, wykraczałby on poza jego możliwości. Jeszcze raz wrócił myślą do Maksa. Przecież zniknął sprzed pulpitu. Wszystko jest zatem powtórzeniem tamtej sytuacji... Wzdrygnął się. Wyczuwane dotychczas niejasno niebezpieczeństwo zaczęło przybierać kształt realnej groźby czającej się wśród ścian stacji. To go przywiodło do utraconej równowagi. Jeżeli nie zdoła przerwać toku zdarzeń - czeka go los Maksa. Ale co zrobić?... Robot pociągnął go znowu...

- Stój ! - krzyknął Tedd. Nie, nie można było ani na chwilę przerwać mówienia do robota.

Każde zapomnienie powodowało stratę kilku centymetrów, oddalenie od pulpitu kierowniczego.

Spojrzał na halę. Urządzenia wentylacyjne i oczyszczające ze świstem wchłaniały powietrze.

Oznaczało to, że pompy zamiast wchłaniać ryby, przestawiły się. Jakby odwrócenie sytuacji.

Zamiast ssania wody - ssanie powietrza, ale powietrze wciąż do hali napływa z zewnątrz, więc...

ssanie powietrza... ssanie powietrza.

Zadrzał. Sprawdził kierunek, w którym odciągał go robot. Nie ulegało wątpliwości - automat zmierzał ku początkowi taśmy produkcyjnej, początkowi transportera dążącego do podajników, sekcji wirujących noży, sekcji segregującej surowiec... Odpady nie odpowiadające testowi spadają do kanału, są pokarmem ryb którejs tam kondygnacji...

- Nie! - wrzasnął Tedd czując, że robot znowu się poruszył. - Stój, łotrze! Stój ! Przecież masz bezpiecznik! Stój ! Nic nie możesz mi zrobić! Stój ! Stój !...

Bezpiecznik. Każdy robot ma bezpiecznik nie pozwalający na wyrządzenie krzywdy człowiekowi. Ewa też ma bezpiecznik, centralny, nadzorujący również wszystkie roboty w stacji.

Więc awaria bezpieczników! Komisja zbadała wszystkie rządy, każdą kontrolę rozpoczyna się zawsze od tego, właśnie od tego. Przede wszystkim od tego. A jednak bezpieczniki! Jaka jest zasada?

Zaraz... Działają na podstawie... - Stój! Stój ! Wywalę cię na złom... Stój ! na śmietnik... Stój...

wszystkie, wszystkie... Stój ! Stój !... na podstawie wizji, fonii i prądów mózgowych. Coś się zepsuło, uległo uszkodzeniu... To bydlę mnie widzi, słyszy - bo reaguje, nędznie, lecz reaguje...

Zatem obwód zmysłowy działa... Wykrzykiwał ochryple rozkaz, ponawiał próby rozluźnienia uchwytu stalowych ramion, lecz umysł jego pracował już sprawnie. Tedd usiłował uporządkować wiadomości, przypominał sobie strzępy dawnych wykładów, lekturę... Bezpiecznik. Urządzenie działało na zasadzie wyboru -spostrzeżony obiekt albo był człowiekiem, albo też nim nie był. Jeżeli zatem robot widząc i słysząc człowieka, uruchomił człony chwytne, stać się to mogło jedynie na

skutek przygłuszenia zakazu wysłanego przez obwód zmysłowy. Takie zakłócenie mógł wprowadzić jedynie obwód prądów mózgowych.

W sytuacji zagrażającej człowiekowi, w momencie odebrania fal wzbudzonych w mózgu przez instynkt samozachowawczy, obwód ten włączał system nakazujący robotowi niesienie pomocy wszystkimi dostępnymi mu środkami. Czy mój instynkt samozachowawczy nie działa?

Bzdura! Działa, i jak jeszcze! Wzrok Tedda padł na ekran. W pieczarze ryby skupiały się zwartymi szeregami wokoło obrośniętego kożuchem wodorostów głazu. Ich długie wąsy poruszały się rytmicznie. Z odległości trzech metrów dzielących go od pulpitu widział tylko zarys tamtej, leżącej w pieczarze bryły, lecz może właśnie dlatego rozpoznał ją.

Pod ścianą, oplątany zwojem pleśniejącego kabla, leżał zzarty korozją stary robot. Z wzrastającym niepokojem uświadomił sobie, że bezpiecznik wraka jest widocznie czynny, że być może odbiera i przekazuje do centralnego mózgu stacji sygnały zagrożenia skupionej tam olbrzymiej ławicy ryb.

Tedd poczuł gęste krople potu pokrywające czoło, policzki, szyję. Inteligencja Ewy, chociaż złożona z setek milionów kryształów, była zbyt mała, aby odróżnić impuls zbiorowego zagrożenia ławicy ryb bijący w nią poprzez bezpiecznik wraka, od impulsu jednego człowieka. Przemknęła mu nawet myśl, że mózg elektronowy, inteligencja niższego rzędu, silniej odczuwa impuls prymitywny, agresywniejszy, bo nie złagodzony żadną cywilizacją. Ewa - mózg elektronowy - usiłuje przez podległe roboty, maszyny, pompy, wszelkimi sposobami zlikwidować stan zagrożenia. Pierwszym krokiem w tym kierunku było przełączenie pomp na ssanie powietrza. Ale w kryształach mózgu Ewy tkwi pamięć, że to on, Tedd, ten stan zagrożenia spowodował uruchamianie produkcji na poziomie 103, a więc trzeba zlikwidować przyczynę...

- Stój! Stój!

Robot nie reagował, pulpit był coraz odleglejszy, cichy szmer pracujących pod

przezroczystymi osłonami sekcji noży wdzierał się do uszu przerażającą melodią wirującego metalu.

Wzrok Tedda padł na rozłożone wzdłuż maszyn narzędzia. Różnego kształtu manipulatory i klucze leżące szeregami, według wielkości, pedantycznie przygotowane przez roboty do następnego remontu urządzeń. Urządzeń, które za godzinę, za kilkanaście minut, a może za chwilę wciągną go na taśmę. Zamknął oczy, starał się nie myśleć, lecz trudno było wywołać stan ośpienia i odpędzić panoszące się pod czaszką wizje. Automat odchylił osłonę, zepchnie go, nastąpi krótki moment spadania, a potem porwie go taśma. Nawet ślad, najmniejsza rysa nie powstanie na lśniących urządzeniach maszyny. Rysa?

Otworzył gwałtownie oczy. Stalowe narzędzia leżały tuż przy przejściu, którym posuwał się ciągnący go robot. Człony chwytne automatu ograniczały ruchy rąk Tedda, lecz od łokcia ręce były wolne, mógł wyciągnąć dłonie. Wykonane z twardych stopów narzędzie, ciśnięte na taśmę zaraz po odsunięciu osłony, powinno spowodować awarię, a urządzenia kontrolne natychmiast wyłączać proces produkcyjny....

Robot powoli posuwał się przejściem. Tedd milczał, wyciągnął dłonie, rozcapierzył palce, naprężył mięśnie aż do bólu. Pod opuszkami poczuł zimną szorstkość powierzchni dużego klucza maszynowego. Schwycił mocno, z całych sił, koniec rękojeści i przyciągnął do siebie. Potem gdy stanęli już nad maszyną i rozwarła się przezroczysta osłona, cisnął narzędzie w głąb wirujących trybów. Klucz zniknął w zwojach ślimacznicy.

W maszynie zazgrzytało, trzaski gwałtownie przybrały na sile, nagle głuchy łoskot wypełnił jej wnętrze, odbił się wielokrotnym echem od stropu hali i zamarł wraz z ruchem podajników, wałów, kół napędowych. Rozjarzyły się czerwone światła awarii.

- Puść mnie - powiedział Tedd do robota. Człony chwytne automatu rozwarły się.

Tedd podszedł do pulpitu kierowniczego, „wyłączył mózg elektronowy i program eksploatacji. Przez chwilę patrzył na zamarłą, cichą halę produkcyjną Ichtiofabru, znieruchomiłe

urządzenia, automaty zastygłe w różnych pozach, dziwacznych, niekiedy śmiesznych.

Zacisnął zęby i powoli wdusił włącznik centralnego mózgu elektronowego.

- A teraz marsz do roboty! - krzyknął.

Automaty drgnęły i poczłapały usuwać skutki awarii.

MACIEJ MISIEWICZ

RÓWNY BOGOM

Automat bezszelestnie zamknął ciężkie, okute drzwi opatrzone tabliczką "Organizacja Narodów Zjednoczonych - Komisja Badań Kosmonautycznych". Stefan instynktownie przymrużył oczy oślepienie blaskiem wschodzącego dnia. Lekko wskoczył na drugie pasmo ruchomego chodnika, potem na trzecie i czwarte. Zdecydowawszy się poprzestać na szybkości 20 km na godzinę oparł się wygodnie o barierkę.

Miasto budziło się do życia. Mknące po obu stronach ulicy teflonowe taśmy zaludniały się powoli sylwetkami śpieszących do pracy ludzi. Od czasu do czasu sunęły jezdnią z lekkim szumem lśniące skorupy aut, unosząc w przezroczystych kopułach co znaczniejszych mieszkańców miasta. W bocznej uliczce, niezdarnie przebierając ogromnymi mackami, zmykał pośpiesznie przed światłem dnia automat oczyszczający. Promienie wschodzącego słońca, przedzierając się między budynkami, kładły podłużne, świetliste plamy, upodabniając ulicę do gigantycznej drabiny zbudowanej ze światła i cienia.

Mimo nie przespanej nocy Stefan czuł się rześko i swobodnie. Poczucie satysfakcji pozwalało mu zapomnieć o zmęczeniu. Uśmiechnął się do własnych myśli i spojrział w górę. Tam, hen za kłębiącymi się, białymi cielskami cumulusów, miały zostać wynagrodzone dziesiątki nie przespanych nocy spędzonych przy obliczeniach, setki wyrzeczeń i trudów, na jakie się zdecydował w dążeniu do celu. Tam miało się spełnić największe marzenie jego życia.

Oczami wyobraźni widział siebie, bohatera dnia, podziwianego przez tłumy.

Opamiętał się w samą porę, aby nie minąć szarej, niepozornej kamienicy, gdzie już od kilku lat zajmował trzypokojowe mieszkanie. Zeskoczył z transportera, szybkim krokiem przeszedł bramę, nuąc jakiś modny przebój, w kilku susach wspiał się na pierwsze piętro i otworzył drzwi. Rzucił teczkę i kapelusz, wyciągnąwszy się na kanapie uruchomił telewizor. Miła, uśmiechnięta zwykle

twarz spikerki nosiła dziś piętno powagi i skupienia. Stefan słuchał.

- ...nizacja Narodów Zjednoczonych zatwierdziła dziś projekt inżyniera Stefana Borskiego, przewidujący sprowadzenie planetoidy Hermes na orbitę okołozemską i uczynienie zeń stacji kosmicznej. Realizacja projektu rozpocznie się natychmiast ze względu na korzystne położenie wzajemne Ziemi i planetoidy.

Z dniem dzisiejszym wstrzymane zostają wszystkie prace związane z budową sztucznej stacji kosmicznej SZ-3. Cały zapas urządzeń i materiałów zostaje przekazany w ręce komisji z inżynierem Borskim na czele i przeznaczony do realizacji "Akcji Hermes". Stefan uśmiechnął się z zadowoleniem, To on będzie tym, który wzbogaci Ziemię o jeszcze jednego towarzysza! On będzie panem potężnych sił, mogących zmieniać orbity planet, on będzie tymi siłami kierował !

- RT-5 wzywa Ziemię!... RT-5 wzywa Ziemię! Wchodzimy w atmosferę! Przewidywany czas lądowania: godzina dwudziesta pierwsza zero siedem... powtarzam... czas lądowania godzina dwudziesta pierwsza zero siedem. Uwaga! Podaję namiary... Spokojny głos nawigatora, nieco zniekształcony przez zły odbiór, recytował bez zająknięcia długie szeregi liczb. Ostatnia grupa specjalistów, montująca na Hermesie zespoły napędowe i sterujące, meldowała o swoim powrocie na Ziemię.

Nieprzyjemny, zawodzący dźwięk syren sparaliżował na moment życie całej przystani, ażeby za chwilę skierować je innym, żywszym nurtem. Centrum tej pośpiesznej krzątaniny stanowił pokład uspiętego dotąd w bezruchu statku "Tewa". Statek ten od dziesięciu lat przyjmował na swój pokład załogi powracających rakiet. Mimo pozornego bezładu wszystkie części mechanizmu funkcjonowały bezbłędnie. Wkrótce po otrzymaniu sygnału "Tewa" była już na pełnym morzu, gnając całą siłą reaktorów do miejsca wodowania.

Minęło już kilka minut spokojnego dryfowania w oznaczonym miejscu, gdy wysoko, prawie w zenicie, pojawił się czerwony punkcik, otoczony świetlistą aureolą. Przy kamerach

telewizyjnych wszczał się gorączkowy ruch. Za chwilę do uszu licznie wokół zgromadzonych widzów doszedł zaledwie dosłyszalny pomruk, przechodzący powoli w ciężki, basowy ryk. To grały silniki hamujące. Świeący punkt rósł, nabierał blasku, aż przybrał coraz wyraźniejszy kształt płomienistej smugi. Jeszcze moment i dał się dostrzec obły kształt rakiety zionącej z przodu strugami ognia. Na wysokości kilkudziesięciu metrów odgłos silnika począł słabnąć i przycichł zupełnie. Z głuchym grzmiotem stutonowa masa rakiety runęła w wodę, tworząc przez ułamek sekundy dokoła siebie coś na kształt szklanej misy, która zaraz rozpadła się na tysiące bryzgów. Rozchodzące się promieniście fale wkrótce dosięgły stojącego w pobliżu statku i zakołysały nim gwałtownie. Po minucie spieniona powierzchnia wody w miejscu upadku wybrzuszyła się, z lekkim szumem ukazały się spod wody krótkie tępe ryje przednich dysz, a za nimi całe ociekające wodą cielsko. Rakieta wychynęła ku górze, ciężko opadła, znieruchomiała na moment i niechętnie, z trudem poddała się łagodnemu rytmowi spokojniejszych już fal. Kłapa, umieszczona w przedniej części pojazdu, powoli się uniosła. Jeden za drugim, siedmiu członków załogi w ciemnych skafandrach, już bez hełmów, zsunęło się po drabince do oczekującej motorówki.

Stefan, który zawsze źle znosił przeciążenia związane z wodowaniem i świadomość pogrążenia się w głębiny wodne, dopiero na pokładzie statku pozbył się uciążliwego ucisku w żołądku i odetchnął głębiej. Liczne grona reporterów i zaproszonych gości tu na miejscu, a miliony ludzi przy odbiornikach czekały na jego słowa. Otoczony kłębowiskiem sprawozdawców i fotoreporterów, zbliżył się do mikrofonu.

- Przed dwoma laty zapadła decyzja o przekształceniu planetoidy Hermes w satelitę Ziemi.

Ta wielka bryła skalna, o średnicy 1,2 km i masie trzech miliardów ton, wyróżnia się wśród innych planetoid znaczną ekscentrycznością orbity. Dzięki temu przy niezakłóconym ruchu planetoida Hermes za trzydzieści dwa miesiące znalazłaby się na przeciąg krótkiego czasu w odległości niewiele większej niż czterysta tysięcy kilometrów od Ziemi.

Blisko dwa lata instalowano na Hermesie reaktory plazmowe i połączone z nimi osiem silników jonowych. Ten zespół napędowy w ciągu dwóch obiegów planetoidy dookoła Słońca, to znaczy w ciągu niespełna trzech lat, zniekształcać będzie orbitę Hermesa. Doprowadzi to do spotkania Ziemi ze swym przyszłym towarzyszem tylko w odległości 20 000 km; nastąpi to dokładnie za 1007 dni. Wówczas to, przy zwiększonej mocy silników, wejdzie na orbitę nowy satelita Ziemi. Jednocześnie z rejestru planetoid zostanie skreślona jedna z nich, na pewno nie najznaczniejsza, lecz ta, która miała szczęście swym torem zbliżyć się do Ziemi. Obiegając odtąd nasz glob na wysokości dwóch tysięcy kilometrów, służyć będzie ludziom za przedsiónek Kosmosu !

Obecna nasza wyprawa była przedostatnią z tych, które ogląda Hermes jako planetoida. Stale istnieje niebezpieczeństwo eksplozji urządzeń napędowych i dlatego cały proces zmiany orbity odbędzie się bez udziału człowieka. Sterowanie poprowadzą układy kalkulatorów umieszczone na Hermesie. Koncepcja zdalnego kierowania okazała się, niestety, niewykonalna. Ewentualne zakłócenia połączeń radiowych mogłyby spowodować poważne następstwa.

Przez twarz Stefana, gdy mówił ostatnie zdania, przebiegł ledwie dostrzegalny cień smutku.

Mocny dotąd, pewny głos lekko przycichł i nabrał trudno wyczuwalnej nutki zawodu. Trwało to tylko chwilę. Spojrzał na zegarek umieszczony przy rękawie skafandra i ciągnął dalej

- Uruchomienie napędu i sterowania nastąpi za dwie godziny, na sygnał z Ziemi.

Działanie człowieka w tej akcji zostało właściwie już zakończone.

Za tysiąc dni, przed ostateczną zmianą orbity, znajdzie konieczność przejrzenia zainstalowanych na Hermesie mechanizmów. Teraz pozostaje tylko ufać im i czekać!

Stefan przerwał i powtórzył w myśli ostatnie zdanie. "Teraz pozostaje tylko ufać i czekać..."

Przed kilkoma dniami, zamknięty w ciasnym pudle rakiety, oderwany od ludzi i ziemskiego otoczenia, zastanawiał się, co powie po powrocie. Cisnęły mu się na myśli wielkie słowa o postępie

wiedzy, panowaniu człowieka nad naturą i celach, jakie stoją przed zjednoczoną, wyzwoloną od prymitywnych popędów ludzkością. Dziś te słowa zostały gdzieś daleko poza nim, w innym świecie. Powiedział nie to, czego oczekiwano. Ludzie, prócz suchych, ścisłych sprawozdań, chcą słyszeć o swej wyjątkowej roli. O swej wiedzy, wielkości i potędze; chociażby mieli do tych cech jak najmniejsze prawo. Stefan zdawał sobie z tego sprawę, a jednak nie potrafił dodać do swych słów niczego więcej. Teraz gdy miał za sobą dwa lata pracy nad realizacją swego projektu, gdy zrobił wszystko, by urzeczywistnić marzenia, ogarnęło go uczucie niedosytu i męczącego oczekiwania.

Zapragnął jak najszybciej zakończyć konferencję prasową, by w samotności uporządkować myśli.

- W imieniu kierownictwa pragnę złożyć podziękowanie wszystkim, którzy przez swój wkład pracy i udzielone nam poparcie przyczynili się do realizacji pierwszego etapu "Akcji Hermes". Oby obiekt naszej pracy w oznaczonym czasie wzbogacił ziemski firmament.

Po ostatnich słowach nastąpił moment ciszy. Daleko na brzegu, na tle ostatniej czerwieni zachodzącego słońca, rysowały się potężne, czarne, wycelowane w niebo sylwety rakiet. Stojąca na pierwszym planie, ciemna, niekształtna postać Stefana z błyskami światła grającymi na okuciach skafandra, wśród tej scenerii pełna grozy i nieziemskiej potęgi, zdawała się być przybyszem z obcego świata, zwiastującym rzeczy wielkie i straszne.

Znów zapłonęły wyłączone na moment reflektory i nastrój prysł. Niewiele jednak pozostało z początkowego entuzjazmu. Rozległy się skąpe, niepewne oklaski. Stefan zszedł z mównicy i, nie zatrzymywany przez nikogo, z ciężko pochyloną głową, po kilku krokach znikł pod pokładem.

Dzień po dniu o miliony kilometrów od Ziemi trwała nieustanna praca silników nad zmianą toru planetoidy. Ludzie, pochłonięci innymi sprawami, poczęli zapominać o tej wielkiej akcji.

Rozgłos minął, ukazujące się od czasu do czasu pomyślne meldunki przestawały budzić zainteresowanie.

Osoba Stefana zdecydowanie zeszła w cień.

Z natury żądny sławy i lubiący hołdy tłumów, dotkliwie odczuł to jako krzywdę. Były okresy, że wysiłkiem woli tłumiał w sobie apatię i brał się do pracy. Nie potrafił się jednak skupić, nie potrafił

pracować systematycznie i dlatego reżyserskie osiągnięcia były mierne. To z kolei potęgowało rozgoryczenie.

Z biegiem czasu Stefan znalazł, w swym mniemaniu, przyczynę dotkliwej porażki. To one, gnieźdzące się na przemierzającym okołosłoneczny tor okruchu skalnym - kłębowiska drutów, półprzewodników i przekładników - wydarły z mózgu swego konstruktora wszystko, co miał najcenniejszego, by teraz objąć rolę swego twórcy !

Początkowo niezupełnie świadome uczucie niechęci, a potem nienawiści do automatów, datujące się już od powrotu z Hermesa, zapłonęło teraz pełną siłą. Nie zapomniano by o nim, gdyby to on sam sprowadził Hermesa ku Ziemi. Widział siebie, jak z rękami na sterach, równy bogom, kieruje niezwykłym pojazdem, otoczony zewsząd milionami gwiazd świecących na tle czarnego nieba. Nadszedł wreszcie dzień startu. Pięciu ludzi, specjalistów mechaników i elektroników, wraz ze Stefanem, wyruszyło na spotkanie zbliżającej się do Ziemi planetoidy.

Uruchomiono pomocniczy silniczek i odległość między rakieta a ostro zarysowanym, urwistym czubem skalnym zaczęła szybko wzrastać. Obłoczki drobnego pyłu, poruszonego w momencie odcumowywania, utrudniały widoczność i Stefan szybko stracił z oczu oddalający się pojazd. Pozostał sam. Nie żałował swojej decyzji zakomunikowanej czwórce towarzyszy dopiero przed chwilą. Mimo istniejącego niebezpieczeństwa wolał być tu, ze swoimi myślami, niż znosić uciążliwe towarzystwo ludzi. Odepchnął się od ściany i popłynął w kierunku stołu dyspozytorskiego, którego instalacja tak bardzo zdziwiła pozostałych uczestników przeglądu. Usadowił się wygodnie w fotelu i zapiął pasy, by nie pofrunąć przy nieopatrzonym ruchu. Siedząc tu miał przynajmniej złudzenie panowania nad sytuacją. Spojrzał na zegar. Wskazówka już, już dochodziła do czerwonej kreski.

Odwróciwszy nieco głowę Stefan przez dłuższą chwilę wpatrywał się w coraz większą tarczę Ziemi, świecąca niebieskawym, zimnym blaskiem. Fala lekkiego podniecenia, jaka go ogarnęła wraz z widokiem wskazówki zegara, teraz ustępowała bez śladu. Przecież rozegrał już swoje atuty, mógł być tylko biernym obserwatorem. panował zupełny spokój. Tylko lekkie drżenie gruntu świadczyło o tym, że coś się dzieje, że o kilkaset metrów dalej pracują silniki. Stefan powiódł wzrokiem po skąpanej w promieniach słońca sterowni i przymknął oczy.

Ciszę rozdarł ostry dźwięk dzwonka. Na stanowisku dyspozytorskim i ścianach sterowni zapłonęły czerwone lampy. Stefan nerwowym ruchem nacisnął guzik informatora. W głośniku rozległa się seria trzasków i gwizdów.

"Jaka szkoda, że nie sprawdziliśmy obwodów informatora" przemknęło mu przez myśl. Po chwili jednak niepożądane odgłosy ustały i urywany, metaliczny głos komunikował:

- Odchylenie... od planowanego... toru... jeden... koma... siedem... Odległość siedem tysięcy kilometrów...

"Trzeba jeszcze zwiększyć moc silnika nr 3; automaty dadzą sobie radę". Stefan był zupełnie spokojny.

I nagle przeszła go myśl tak szaleńcza, że się przeraził, jednocześnie niosąca ze sobą urok, któremu nie potrafił się oprzeć. To nic, że Hermes, nie przystosowany do bezpośredniego sterowania, nie posiada podręcznych kalkulatorów, on, Stefan, wprowadzi go na orbitę ! Niech wreszcie to rumowisko blach i drutów poczuje rękę pana, który wrócił, by zająć swe miejsce! Rzucił się w kierunku ściany, gdzie za szybką tkwiła czerwona rękojeść. jednym ruchem łokcia zmiażdżył szkło i szarpnął. Szarpnięcie było tak gwałtowne, że Stefan wywinął kozła i uderzył głową o podłogę. Poczul w ustach smak krwi. Martwe dotychczas tarcze zegarów ożyły, wskazówki zaczęły pulsować. Ekran zapłonęły zielonkawym blaskiem i po chwili wypełniły się splotami linii, kłębiących się w obłądnym tańcu, to znów idealnie uporządkowanych.

- Odchylenie... od planowanego... toru... jeden... koma... dwanaście... Odległość pięć...,
tysięcy kilometrów -- wyszczebiwał głośnik.

"Silnik nr 3! Za wszelką cenę zwiększyć moc trzeciego silnika!" Czepiając się rozpaczliwie pasów Stefan dotarł do stołu sterowniczego i, nie lądując na fotelu, z nogami w górze, wparł się całą siłą w opatrzone czarną trójką pokrętko, obracając je aż do oporu. Dzwonek sygnalizujący przekroczenie dopuszczalnej mory milczał. Rzut oka na wskaźnik napięcia... Zero ! Napięcie na generatorze - bez zmian...

A więc obwód między sterownią a mechanizmami przekaźnikowymi jest przerwany! Tak, na tablicy bezpieczników płonie żółte światełko, znak, że w obwodzie nie ma prądu !

Przez głowę przewalała się lawina myśli: "Kanał prowadzący kable wypełniony jest azotem... Maski tlenowe! Diabli wiedza gdzie jej szukać... A więc jedyna szansa... szybciej !"

Śruba, mocująca stalowe, uszczelnione gumą drzwi nie ustępowała i Stefan walczył z nią dłuższą chwilę, nim wreszcie puściła. Nabrał w płuca potężny haust powietrza i wpadł do kanału zatraskując za sobą drzwi.

Całe szczęście, że kanał jest oświetlony, lecz gdzie szukać uszkodzenia. Jest!

W odległości kilku metrów dostrzegł na bocznej ścianie tunelu białą plamę. Dawno temu, przed dziesięciu laty, Stefan wynalazł materiał służący na okładzinę ścian, który nie tylko natychmiast uszczelniał otwór powstały po mikrometeorycie, lecz sygnalizował z daleka miejsce uszkodzenia.

A więc to mikrometeoryt !

Gorączkowo rozsuwał dziesiątki przewodów, szukając przerwy w obwodzie. Minęła dłuższa chwila, nim ją znalazł; meteoryt poszedł skosem i goły drut sterczał o dobre półtora metra od miejsca przebicia powłoki! Stefan poczynął się dusić. W skroniach zabębniło rozszalałe tętno, oczy wychodziły z orbit, tracił ostrość widzenia. Siła woli nie potrafiła już zatrzymać oddechu, lecz

spragnione płuca nie otrzymywały nadal ani krzty tlenu. Nie bacząc na szarpiące uderzenia prądu byle jak splótł opalone z izolacji kikuty przewodów.

"Jeszcze moment i stracę przytomność" - przemknęło mu przez myśl.

Czepiając się wszystkich wystających części, z łomotem obijając się o ściany kanału, zalany potem, zionący żarem z rozpalonych płuc dotarł wreszcie do drzwi i resztą sił przewalił się przez nie połową ciała. Kilka łyków powietrza orzeźwiło go na tyle, że wydostał się do reszty z kanału i zatrzasnął drzwi.

Raptem zaczęło się ściemniać, aż zapadła zupełna noc. Po chwili fotokomórka włączyła sztuczne oświetlenie. Hermes wszedł w cień Ziemi.

Zupełnie spokojny, jakże nieludzki głos cedził z głośnika: - Odchylenie od... zaplanowanego toru... jeden... koma... dwadzieścia... pięć... Grozi zderzenie z Ziemią... Odległość... trzy i pół tysiąca kilometrów... Trzeci silnik... pracuje nadmiarem mocy...

Dopiero teraz Stefan poczuł, że słaba, lecz stale działająca siła spycha powoli jego ciało w kierunku sufitu. Jednocześnie straszliwie bliski, wiszący dotychczas nad głową balon Ziemi przesuwiał się powoli.

Nastąpiło to najgorsze, planetoida zaczynała koziołkować! Przerazenie sparaliżowało go na moment. Tak! Przecież zostawił pokrętło nastawione na maksimum! Silnik zaczął pracować pełną mocą od momentu naprawy przerwane obwodu. Zbyt długo trwający nierównomierny rozkład sił działających na Hermesa zamiast wyprostować orbitę, wprowadził go w ruch wirowy. Widmo nieuchronnej katastrofy zajrzało Stefanowi w oczy. Poderwany strachem, szukając ostatniej szansy, szarpnął dźwignię włączając automatyczne sterowanie. W różnych tonacjach rozdzwoniły się sygnały alarmowe. Automaty, nie przystosowane do tak wielkich odchyłeń od zadanych parametrów, były bezradne. Zresztą aby w tym momencie wyminąć Ziemię, potrzebne były dwukrotnie potężniejsze silniki.

Znów odezwał się głośnik:

- Odchylenie od planowanego toru... jeden koma trzydzieści _ siedem... odległość dwa tysiące kilometrów... grozi zderzenie z Ziemią... przewidywany... rejon upadku... południowy kraniec Europy...

Jeszcze parę minut i ściągnięty polem grawitacyjnym Ziemi olbrzymi głaz runie do morza wywołując kilkudziesięciometrową falę przyływu, zatapiającą wybrzeża, lub spadając na ląd straszliwym wybuchem zniszczy wszystko wokół na przestrzeni wielu kilometrów.

W obliczu zbliżającego się finału Stefan odzyskał spokój. Musiał ratować od katastrofy setki tysięcy istnień ludzkich. Jest tylko jedna droga - natychmiast, w znacznej odległości od Ziemi, wywołać eksplozję któregoś z reaktorów. Wybuch termojądrowy zmieni Hermesa w niegroźne obłoki pyłów i gazów.

"Wywołać eksplozję, lecz jak? - miał już bardzo mało czasu. Wyłączyć pole zamykające plazmę można tylko przy reaktorze... Może zerwać bezpieczniki i próbować przegrzania silników. Na to potrzeba przynajmniej pięciu minut... nie zdąży. Spalić pełnym napięciem uzwojenia elektromagnesów, tak, to jedyne! Może nie wytrzymają...

Zaczął błyskawicznie manipulować przełącznikami. Wskazówka woltomierza stale szła do przodu. Napięcie wzrastało. Stefan hipnotycznym wzrokiem wpatrywał się w przyrządy. Rosnąca siła odśrodkowa odpychała go od ściany. Nie bronił się, zrobił wszystko co mógł.

Było coraz goręcej. Mknąc z wielką szybkością po łuku, stycznym prawie do powierzchni Ziemi, Hermes pograżył się w atmosferę. Temperatura gwałtownie wzrastała. Sterownię wypełniał śwąd palonej izolacji, rozszalał się koncert trzasków, huków i stęknień. Klimatyzacja już nie wystarczała, powietrze było nie do zniesienia. Stefan, bezradnie rozkrzyżowany, przyciskany siłą odśrodkową do sufitu, resztką sił odwrócił się. W ostatniej sekundzie pragnął być twarzą do Ziemi.

"Reaktor wciąż nie eksploduje! Jeszcze chwila i jego wybuch będzie znacznie groźniejszy niż

upadek Hermesa!" - pomyślał z rozdzierającą rozpaczą.

"Gorąco, jakie straszliwe gorąco!"

Raptem przezroczysta, plastikowa bania otaczająca sterownię nie wytrzymała i rozpadła się na całej wysokości. Do wnętrza wtargnął kłęb żaru. Ciało Stefana skurczyło się i znieruchomiło.

Przez rozdarte komórki mózgu błysnęła ostatnia myśl:

"Zamiast naprawy w kanale... należało przecież... uruchomić obwód awaryjny... automaty by się nie... pomyliły".

Stefan otworzył oczy. Minęła dłuższa chwila, nim oprzytomniał. Przetarł powieki, chcąc spędzić resztki oparów sennych. Powiódł wzrokiem po sterowni - wszystko było na swoim miejscu.

Wtem ciszę rozdarł dźwięk dzwonka. Na stanowisku dyspozytorskim i ścianach sterowni zapłonęły czerwone lampy. Stefan nerwowym ruchem nacisnął guzik informatora. Urywany, metaliczny głos komunikował:

- Odchylenie od planowanego toru... jeden... koma zero siedem... Odległość... siedem tysięcy kilometrów.